Numer 19. Nalež. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 10 Maja 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Sędzia do złodzieja: — Nie masz wcale wstydu? Przed dwoma laty skradłeś ubranie u Florczaka, a teraz znowu u Makowskiego?

Złodziej: — Przepraszam świetny sąd, ale w jednem ubraniu przez dwa lata to nawet żaden sędzia nie chodzi.



Różne skutki.

Jak tylko mój stary się napije, to na drugi dzień jest jak rozbity.

— To wiem dobrze, bo jak mój się upije, to ja na drugi dzień zupełnie jestem rozbita.



Także zajęcie.

— I jak ty możesz wytrzymać bez żadnego zajęcia?

— Wybacz, mylisz się, bo jestem teraz bardzo zajęty... pewną brunetką.



Ani jedno, ani drugie.

Dobrze wytresowany lokaj w zamożnym domu na wsi, wprawił w nielada zdumienie proboszcza, który przybył powinszować opiekunom miejscowego kościoła narodzin pierwszego dziecka.

Proboszcz: Cóż wam dał Pan Bóg: syna?

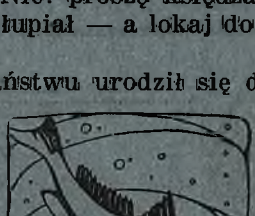
Służący: Nie! proszę księdza proboszcza.

Proboszcz: A!... więc córkę?

Służący: Nie! proszę księdza proboszcza...

Proboszcz osłupiał — a lokaj dodał z namaszczeniem:

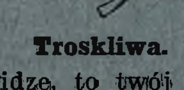
— Jaśnie państwu urodził się dziedzic...



Troskliwa.

Pani: Jak widzę, to twój narzeczony siedział przez dwie godziny w tej zimnej komorze?

Służąca: O, to nic nie szkodzi, bo miał na sobie kożuch wielmożnego pana!



Nagrobek.

Przechodniu! pod tą mogiłą
Spoczął człowiek zasłużony;
Już mu się wszystko sprzykrzyło,
Najwięcej — język żony.

Numer 19. Rok XIV. Kraków, dnia 10 maja 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Poszanowanie religji i miłość Ojczyzny.

Do najwięcej cenionych zalet poszczególnych narodów należy: 1) przedewszystkiem poszanowanie religji panującej, 2) miłość Ojczyzny, 3) poszanowanie prawa i cudzej własności, 4) pracowitość oraz 5) rozumne szafowanie groszem. Z kolei omówimy każdy punkt, stawiając kwestję jasno i bez ogródek.

A więc przedewszystkiem co znaczy poszanowanie religji panującej? Oto to, że każdy prawy obywatel państwa, powinien szanować religję wyznawaną przez większość współobywateli, choćby sam wyznawał inną, lub był w zupełnej z nią rozbieżności; gdyż przekonania religijne każdego człowieka są rzeczą świętą i nietykalną.

Każdy człowiek może wyznawać religję, jaka mu się podoba i jaką uważa za najlepszą, ale to nie wyklucza, aby nie szanował wiary innych, którzy swoją religję uznają znów za najlepszą. Bądźmy więc przywiązani do naszej wiary, szczyćmy się nią, ale szanujmy i wszystkie inne religje.

Następnie przechodzimy do miłości Ojczyzny. Cóż to jest miłość Ojczyzny? Jest to nietylko gorące umiłowanie ziemi rodzinnej, ale i miłość współobywateli ziemię tę zamieszkujących. Żaden prawy obywatel państwa, miłujący swą Ojczyznę, nie zechce dla dobra tej klasy społecznej, do której należy niczego, coby szkodziło ogółowi, lub godziło w interesy państwa. Niejednokrotnie bowiem to, co zdawałoby się być wielce zbawiennem dla wieśniaka, jest zabójczem dla interesów robotnika lub urzędnika, albo odwrotnie. Widzimy więc jasno, jak szkodliwem i zabójczem dla każdego państwa w ogólności, a dla naszego jako z gruzów powstałego w szczególności, są walki partyjno-klasowe. Żaden jeszcze ustrój na świecie nie był doskonałym; każdy miał i ma swe błędy i usterki, gdyż ustanowili go ludzie, a ludzie błądzą i są omylni. Należy jednak pamiętać o tem, że wszelkie walki partyjne wprowadzają tarcie, dyskusje niepotrzebne, zabierają czas przeznaczony dla spraw ważnych, a wreszcie naruszają równowagę budżetu i całej sprawności machiny państwowej, z trudem nadmiernym niejednokrotnie utrzymanej.

Ani jednak poszanowanie religji, ani miłość Ojczyzny, nie powinny przybierać zabarwień szowinistycznych, gdyż tak innowierca, jak i obcokrajowiec jest wedle zasad Wiary św. naszym bliźnim. Wolno nam tak z innowiercami, jak i z obcokrajowcami nie wchodzić w bliższe stosunki kupieckie, handlowe i t. p., nie wolno nam jednakże ich nienawidzić, ani wymagać tego od Państwa, aby ich zwalczało. Państwo wedle praw konstytucji m u s i traktować każdego obywatela zamieszkującego jego terytorjum i płacącego podatki — bezprotekcjonalnie. Szowinizm narodowy, prowadzi do nienawiści plemiennych, do zatargów, utrudnia współżycie z sąsiadami, opóźnia i oddala wzniosłe dzieło pacyfikacji świata i braterstwa ludów, w które dziś jeszcze mało ludzi wierzy, ale które nadejść musi. Musi, bo przepowiedział to Chrystus, mówiąc, że „przyjdzie czas, gdy nastanie jedna owczarnia i jeden pasterz“. Już dziś, coraz więcej mądrych i uczonych ludzi debatuje nad skutkami barbarzyńskich wojen i stara się wynaleźć środki, aby ten zawiły problem rozwiązać na przyszłość — pomyślnie.

My Polacy musimy prowadzić politykę, że tak powiem, podwójną: duszą i sercem dążymy do dzieła ogólnego pokoju, ale za sobą musimy mieć narazie doskonałą armję, aby odeprzeć w razie potrzeby zakusy miłych sąsiadów, pragnących kosztem naszych ziem zaokrąglić swe posiadłości. *Marja Waller.*

Cecora.

Powieść historyczna.

— Wytłómaczyłem mu i już się przegniewał....

Hetmanowa poruszyła się, widocznie rada z tej wiadomości.

— A niech tam przyjdzie, przeproszę smyka — mruknął pan Baltazar, ale zachmurzył się lekko.

— O nie — odezwała się Żółkiewska — waćpan tego uczynić nie możesz.

— Dla waszej miłości i to nawet gotowym zrobić...

— Dla mojej miłości — rzekła z uśmiechem pani Regina — waćpan zapomnisz czyim synem jest i rycerskich sztuk uczyć go będziesz. A waćpan nie upatrzysz nic zdrożnego w tem, jeżeli szablę skrzyżować lub kopją natrzeć potrafi. Jedno więcej serce pozyskasz, a miłość ludzka — to bogactwo największe.

— Szlachecka to rzecz szabla — odpowiedział komendant — ale woli Jaśnie Wielmożnej hetmanowej zadość się stanie. Wiem, że chłopiec do oręża rwie się, a oczy mu jak u wilka błyszczą, gdy szablę zobaczy, aż nieraz dziwno mi się robi tę ochotę w pachołku widząc. A zresztą, nieraz cham do nobilitacji doszedł, gdy okoliczność się nadarzyła, jak to pod Wielkiemi Łukami, na ten przykład, gdy z narażeniem własnego życia chłop parkan podpalił i do wiktorji się przyczynił. Ano, nie pożałuję fatygi i szablę w łapę mu dam.

— Dziękuję waszmości! — rzekła hetmanowa, dłoń do komendanta wyciągając.

Pan Baltazar skwapliwie ujął rękę ubóstwianej pani i rozgarnąwszy sumiaste wąsiska, pełen szacunku i wdzięczności pocałunek na niej złożył. Gdyby w tej chwili nawinął się Jerzyk, nie wahałby się przeprosić go nawet za despekt mu wyrządzony. Polityczna mowa pani Żółkiewskiej rozbroiła starego żołnierza. Zniżyć mu się do przeprosin młodzieniaszka nie pozwoliła, a wspominając o nauce rycerskiego rzemiosła, wyraziła tem samem chęć swoją, by podobny zatarg już się nie powtórzył. Zrozumiał to pan komendant, a zbyłby się życia prędzej, niżby w czem należy zadość tej pani nie uczynił. Od tej chwili Jerzyk urósł w oczach Bekasa, zaczął powątpiewać nawet o jego chamstwie i upatrywać w nim choć jedną kroplę krwi szlacheckiej.

— Cóż Swinczańska? — zwróciła się hetmanowa do Jasinowskiego z pytaniem.

— Nie widziałem się z nią.

— Dlaczego?

— Była zajęta wróżbami.

— A komu horoskop stawiała?

— Córce Mitrasa ze Lwowa.

— Pięknej Admie?

— Tak, jaśnie wielmożna hetmanowo.

— A cóż ją aż tu z tak daleka przywiodło?

— Los rycerza, który z jaśnie wielmożnym hetmanem na Turka poszedł, a który miłym jej jest.

Marychna z Halszką zatrzymały się.

— Skądże waćpan wiesz o wszystkiem? — rzuciła hetmanowa.

— Z ust jej samej.

— Któż to taki ten rycerz?

— Rotmistrz Konstanty Plichta...

— Halszka drgnęła, czego nie mógł pan Symforjan dostrzec, bo w pewnem oddaleniu stała od niego, przeczuwał jednak, że drgnąć musiała, a ta myśl sama kazała mu niemiłosiernym być. Gdyby hetmanowa wiedziała, co w tej chwili w biednem sercu Halszki się działo, urwałaby wpół rozpoczętą rozmowę, ale nie wiedząc nic, zwróciła się znów do Jasinowskiego i rzekła:

— Rotmistrz Plichta?

— Po słowie są.

— Siądźmy, Marychno... — szepnęła Halszka...

Usunęły się w cień bzów przekwitłych, a Halszka drżała, jakby przeczuwany grom miał uderzyć.

— Halszko! — odezwała się Marychna.

— Nastają krzyżowe dni — odszepnęła Halszka, oczy ku gwiazdom podnosząc.

— Czy to waćpan czasami bajek rozsianych po drodze nie uzbierałeś? — ozwała się Suproniczówna.

Nie jestem waćpanną i do senników nie zazieram — prychnął Jasinowski.

— Ale skąd taka konfidencja z Mitrasówną?...

— Wżdy znam ją nie od dzisiaj, a że białogłowy mają zaufanie do mnie, to i o zwierzenie nie trudno. A zresztą, co waćpannę ten Plichta obchodzi?

— Więcej on obchodzi waćpana, niż mnie — odpowiedziała panna Małgorzata i trząść się zaczęła.

— Ou — wa! ni brat, ni swat! — zawołał Jasinowski — a jakem zauważył, wietrznik i waszmość panny respektu nie godzien.

— Wietrznik? skąd waćpan i o tem wiesz? — spytała Żółkiewska.

Pan Symforjan zmięszał się nieco.

— Dziś kawalerów statecznych niema, dobrodziejko moja, niema. I Mitrasówna swojemu niezbyt wierzy, choć jej ślubował.

— Jeżeli rycerz praw, to słowo zdzierży — rzuciła hetmanowa.

— Marychno! wirydarz mi się kręci... — głosem omdlałym szepnęła Halszka.

W tej chwili przez błękity przeleciała gwiazda i zgasła.

— Dusza jakaś do chwały niebieskiej poszła — odezwał się ksiądz kapelan, powstając.

I zaczął modlitwy szeptać za umarłych.

Nagle Marychna krzyknęła w głos:

— Wody! Halszka omdlała!...

Zamięszanie się zrobiło okrutne. Bekas do kredensu, panie do Halszki, a Suproniczówna do Jasinowskiego skoczyła:

— Poganin z waćpana! — rzuciła mu w słuch.

I do Halszki przypadła.

— Co tobie jest? — pytano. — Co tobie jest?...

W cieniach drzew ukazał się Jerzyk.

Omdlała dziewczyna do przytomności przyszła prędko.

Halszka nie mogła zmysłów zebrać, ale w pomoc jej Marychna przyszła.

— Jerzyku! Jerzyku! coś ty narobił? — zawołała. — Ukazałeś się nagle, jak duch i przestraszyłeś mnie i Halszkę.

Na Jerzyka tedy ono omdlenie złożono.

Po chwili pusto było na wirydarzu, jeno księżyc wysrebrzał się coraz bardziej ku środkowi nieba sunąc, jeno umarłe listki odrywały się z drzew i przez powietrze płynęły ruchem powolnym i jak łzy opadały na ziemię.

VIII.

Przez stepy, pokryte jeszcze bujną zielenią traw, ku granicznemu Dniestrowi, pochodem szybkim, zbliżało się wojsko polskie. Młody książę Jerzy Zbaraski ruszył od swojej Berszady w trzy tysiące jazdy

doborowej i połączył się z siłami hetmańskiemi. Powitanie wojsk nastąpiło na stepie szczerym, a trąby i bębny, które grzmiały przy onem spotkaniu, tak okrutny, lecz zarazem weselny gwar podniosły, że Dniestr niedaleki uśmiechnął się błyskawicą fal i groźbę ech rzucił na równiny mołdawskie, które lada chwila zaroić się miały krociowemi zastępy wojsk Skinderowych.

Z dniem każdym rosła potęga hetmańska. Tomasz Zamoyski i kniaź Samuel Korecki, na odgłos wojny pośpieszyli z zaciągami swoimi; pod Białym-Kamieniem połączył się z siłami Żółkiewskiego Stanisław Koniecpolski, hetman polny koronny, z dwutysięcznym zastępem jazdy pancernej; w Buczaczu zastał hetman imćpana Stefana Koniecpolskiego, któremu osobiście w szeregach bratnich stanąć nie pozwolił postrzał, otrzymany w wojnie północnej, więc w zamian siebie, dał stu opancerzonych dobrze rycerzy, którzy poszli pod rotmistrzowską komendę Konstantego Plichty, a tu pan na Berszadzie pod wodzą swoją przywiódł świetnie uzbrojony zastęp trzytysięczny i poddał go władzy hetmańskiej.

Panowie, sumptem swoim wystawiający wojska, nieograniczone nad niemi przewodnictwo mieli i o tyle słuchali najwyższą władzę hetmana, o ile to im się spodobało. Nie wiązała ich żadna przysięga, na krzyż czy ewangelję złożona, a jeżeli dotąd nieporozumień czy niesnasek z najwyższym wodzem nie było, to jeno dlatego, że obowiązku poczucie i wspólnej sprawy umiłowanie stawiali wyżej nad własną prywatę. A dość było, by jeden taki książę Jerzy Zbaraski władzy hetmańskiej się poddał, by niechętni nawet wodzowi, jak kniaź Samuel lub Kalinowski, uczynili to samo, zapominając na czas wojny niechęci dawnych i uraz.

Z przybyciem Jerzego Zbaraskiego potęga hetmańska do ośmnastu tysięcy sił zbrojnych wzmogła się. Garstka to była przeciwko wojskom otomańskim, zalewającym świat. Ale Obertyn, Kirchholm, Kałuszyn i tyle innych batalij światu temu pokazały, że nie liczyliśmy wroga. Pewność zwycięstwa zdwajała szeregi, lekceważenie życia odstraszało śmierć, a tu się potykać miano z nieprzyjacielem wiary Chrystusowej, gdzie pewność śmierci nawet wiała nieprzemożonym urokiem, bo się wypełniało zakon rycerski i szło się prosto do otwartych niebios wierzeji. Pierwszy to raz zresztą miało się oko w oko spotkać rycerstwo polskie z muzułmańskimi zastępami. A niech zobaczy sułtan, jak się czerwieni krew szlachecka, jak szable polskie tną, a kopje rycerskie biją. Grzmiały więc trąby i puzony na widok wojsk nowych, przybyłych pod wodzą księcia Zbaraskiego, a gdy chorągwie i proporczyki pochyliły się przezd zbliżającym hetmanem — wzniósł się okrzyk ogromny, aż pan Żółkiewski wąsa z zadowoleniem pokręcił — a gdy spiął konia i szeregi przeleciał, nikt lat siedmdziesięciu na barkach jego nie dojrzał, takim ogniem płonęły mu źrenice, taka moc druzgocąca biła z tej postaci, taką młodością patrzał!...

— Stasiu! — mruknął Kurzański. — Nie chciałbym być dzisiaj w skórze Skinder-baszy.

— To też z przybyciem marudzi — dodał Plichta, wzrok posyłając w bezmiar stepowy, na którym jeno trawy kołysały się, przez lekki wiatr trącane.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MARJA WALLER.

SEN.

(Dokończenie.)

II.

Piotruś wychodząc z domu, zagwizdał wesoło i podzwaniając srebrem skierował się do pobliskiej szynkowni, gdzie czekali już na niego „kamraci“. W drodze jednak rozmyślił się. Pogoda była cudowna, słoneczna. Odrapane i brudne twarze domów poweselały — jakby odmłodniały. Jakiś świąteczny i radosny nastrój do obmierzłego zaduchu i zgniłych wyziewów karczemnych, a zapragnął słońca i przestrzeni. Nie namyślając się długo skręcił w boczną ulicę i w kilka minut później znalazł się na przedmieściu. Domy stały tu rzadziej, wtulone w świeżą zieleń sadów. Powietrze przepełnione wonią kwitnących drzew i spulchnionej ziemi panowało wszechwładnie, a słońce lało strugi roztopionego złota, głaszcząc pieszczotliwie główki zaniedbanych i brudnych maleństw, bawiących się w pyle gościńca. Na rogu stał wielki dom czynszowy, robiący wrażenie ogromnej szafy, z mnóstwem maleńkich szufladek, pełnych wrzawy i przekleństw, oparów mydlin i wstrętnych zup, nędzy i zawiści. Koło domu stała gromadka kobiet, plotkując żwawo.

— Ale! paniusia! świętą udaje, a o trzeciej chłopa wypuszczała — wołała wysoka dziobata baba.

— Co mówicie kumo? Toście słuchali? — zauważyła złośliwie druga, mrugając okiem do tęgiej brunetki stojącej obok.

— Dziecka własnego jak się jej drze całą noc, nie słyszy, a bramy to umiała pilnować — szepnęła jej tonem objaśnienia.

Piotruś nie mając nic lepszego do roboty, zatrzymał się i włożywszy ręce w kieszenie, przysłuchiwał się rozmowie. Znał tę „dziobatą“. Co sobotę przychodziła pod fabrykę po swojego „starego“, bojąc się, żeby go gdzie nie „wciągli“. Dziobata zdążyła już omłynkować poddasze i drugie piętro i zabierała się właśnie do pierwszego, gdy z bramy wybiegł zgrabny, ładniutki podlotek.

— Dokąd to panno Kaziu? — wołała za nią.

— Do sklepiku, po bułki! Przyjechał brat mamusin z Ameryki! — chwaliła się szczęśliwa, uradowana biegnąc szybko.

— A widzicie! a mówiliście, że facet! ja ta zawsze mówiła, że to porządna pani — kłamała zawzięcie niska, krępa praczka z suteryn.

— A juści brat — tyle lat go nie było, a teraz się znalazł! pewnie — krzyczała dziobata, wściekła na niepowodzenie.

Wtem gościńcem nadjechało wytworne auto. Jakieś maleństwo chciało przebiegnąć jezdnię — rozległ się straszny krzyk — samochód stanął. Z wnętrza wybiegła młoda dama, blada jak śmierć.

— Co to? co się stało? kogoś przejechał na miłość Boską?

— Zdaje się dziecko, Jaśnie Pani — chciałem wyminąć dwoje innych, a to wpadło pod koła — usprawiedliwiał się szofer, a zimny pot wielkiemi kroplami spływał mu po czole.

— Zobacz! i zaraz po lekarza! O Boże! ileż tu dzieci. tak puścić bez opieki! — biadała pani.

— O lo Boga! a to mój Wawrzuś! — leciała z krzykiem dziobata.

— Noga zdaje się złamana — meldował zafrasowany szofer, ale oddychał już lżej: Nie zabił.

— Pędź po doktora — ja tu zaczekam — dysponowała pani. — Nie ruszajcie go! — trzeba go przenieść równo, ostrożnie, zaraz przyjdzie lekarz. Nie rozpaczajcie, oddam go wam za wolą Bożą zdrowego — zwróciła się do krzyczącej w niebogłosy kobiety, chcącej podnieść chłopaka.

I z pomocą Piotrusia, przeniosła malca ostrożnie i delikatnie do narożnego sklepu. Malec jęczał cicho, ale uspokoił się nieco, ujrzawszy w rączce olbrzymi kawał czekolady. Dama z ogromnym żalem patrzyła na cierpliwe biedactwo.

— Jak można zostawić takie maleństwo bez opieki! — zwróciła się do matki.

— A pewnie bony im będę chowała, a Pan Bóg zapłaci! My biedne ludzie! pracować musimy ciężko bez cały dzień na kawałek chleba! a o dzieciach to ta Aniołowie Pańscy pamiętają!

— Czyście tacy biedni? — zapytała ze smutkiem pani.

— Oj tak! jaśnie paniusiu! tak! — chlipała, łypiąc w stronę okazałej torebki — i to nieraz chleba braknie! Pracuje człek ciężko od świtu do nocy! A jakże! A tu i chłop pijak — dodała ciszej, bojąc się, żeby ktoś z widzów nie zaprzeczył. Chłopa bowiem miała dobrego i pracowitego. Dosłyszał jednak Piotruś i aże nim zatrzęsło, na taką obłudę.

— Ale to kłamie jak z nut, proszę pani — chłop pracowity, dwadzieścia pięć lat już robi w fabryce! Znam go! Ładnie zarabia, nie pije, nie pali — a ona nic nie robi, tylko na ulicy wystaje, ludzi nicując. I teraz stała z całą zgrają kumoszek i rajcowała, dziecisków nie pilnując. I stąd całe nieszczęście.

— Jak się nazywacie?

— Piotr Dyka — ślusarz — dodał z pewną dumą.

„Dziobata" zaniemówiła. Cały sprytnie i misternie splątany zamach na kieszeń bogatej pani — zniweczony! Ogarnęła ją wściekłość. Z podniesionemi pięściami rzuciła się na Piotrusia.

— A ty łotrze! ty wywłoko! zazdrość ci? wywalili cię z fabryki za pijaństwo i tuś przyszedł? porządnym ludziom wodę mącić?! A ty... — dopadła go pięściami.

Piotruś stoicko przyjąwszy pierwszy atak, uniknął zręcznie drugiego i chwytając rozwydrzoną jędzę za ręce, pchnął ją na najwięcej zbitą gromadę. Powstał wrzask, pisk i zamięszanie, a w to wszystko wpadła trąbka automobilu, pędzącego z lekarzem. Wnet znalazł się i stróż bezpieczeństwa i zaczęło się nudne spisywanie protokołu, przy akompanjamencie lamentów i pochlipywań czułych sąsiadek. Przed oczyma Piotrusia przewinął się szereg cichych dramatów, olbrzymiej kamienicy czynszowej. I ujrzał matki szlachetne, zacne i kochające, pracowite i poświęcenia pełne, ale obok ujrzał inne: lekkomyślne lub plotkarki czci ludzkiej, ni cnoty nie szanujące a nawet i pijaczki — nazwy matki niegodne. Mimowoli nasunęło mu się porównanie... Zamyślonego ktoś trącił zlekka. Obejrzał się i ujrzał śliczne i dobre oczy, nieznajomej.

— Jesteście ślusarzem — nieprawdaż? Chcielibyście pracować?! Prawda? Idźcie z tym bilecikiem do tej fabryki — rzekła, wskazując mu adres — mój mąż da wam zajęcie. Potrzebuje właśnie kilku ślusarzy.

...A Piotruś stał uszczęśliwiony, mnąc czapkę w ręku i patrząc to na bilecik, to za odchodzącą, która uśmiechała się na widok jego zakłopotania.

Po długiej dopiero chwili opamiętał się i powlókł się dalej. Za kwadrans znalazł się w polu. Zmęczony tylu wrażeniami usiadł w cieniu rosochatej, białą pianą kwiecia pokrytej gruszy i zaczął rozmyślać. Z tem myśleniem jednak szło coraz oporniej i wreszcie wszystko splątało się, zmętniało i Piotruś usnął.

I ujrzał we śnie dzieciństwo swe beztroskie „sielskie i anielskie", śmierć kochanego żywiciela i rozpacz matki, a wreszcie twardą jej pracę, nad siły nieraz. Nie mógł sobie jej wyobrazić inaczej, jak pochyloną nad balją pełną brudnej wody. Tak ją widział układając się do snu, a budząc się rano, widział ją znów nad stosem upranej bielizny. Kiedy spała? nie zastanawiał się nigdy. Poprostu nie przyszło mu to na myśl. Tak samo jak nie pomyślał, ile pracy i zabiegów kosztowało jego zawsze czyste i schludne ubranie, ile krwawo zapracowanych pieniędzy poszło na szkołę i termin... a tu i siły stawały się coraz słabsze i o zarobek coraz trudniej... Teraz dopiero w tym śnie łaski Bożej, w tym śnie zakrawającym na widzenie niemal, zrozumiał i zatargał nim żal bezmierny. Jakże on płacił tej matuli za jej poświęcenie, za tę miłość, za sterane siły!? Pamiętał ją młodą i ładną w dniu pogrzebu ojca. Mogła i męża znaleźć i lżejszego chleba u ludzi poszukać, a nie uczyniła tego! A on?! Nietylko roboty nie pilnował i złych towarzyszy słuchając, po knajpach krwawy zarobek przepijał, ale pracę przez niepunktualność straciwszy, miast poprawy ostatki przepuścił! A dziś?!... na matkę własną, na tę żywicielkę swą, rękę podniósł... a kto wie?!!! Upadła!!! która wie co się dalej stało?! O! Jezu! bądź miłościw!... I rozgorączkowana wyobraźnia snuła krew mrożące obrazy: więzienia, sądu, a wkońcu w mózg, jakby rozpalonem żelazem, zaczął wwiercać się jeden okropny wyraz, straszniejszy od śmierci samej: matkobójca. Widział go: ognistemi zgłoskami wyryty wciskał się w każdą komórkę mózgu. Słyszał go we wszelkich tonacjach — był jak ślepiec, macający wokół, a spotykający wszędzie tą samą twardą zaporę — nie do przebycia. Coś dławiło go. Serce waliło jak młotem, coraz prędzej, prędzej — biło już w gardle, podnosiło się coraz wyżej, a w wyschniętych ustach uczuł słodkawy smak... Chciał krzyczeć, lecz głosu nie mógł wydobyć, chciał zwolnić krtań ze strasznego ucisku, lecz ręką ruszyć nie mógł! O męko niewysławiona! To już chyba śmierć...

— Paniczu! paniczu! co wam to?! wstańcie! to niezdrowo spać na niewygrzanej ziemi! no! — szarpał nim ktoś mocno.

— Aaa! jakaż ulga! więc to sen! O Boże jakiś dobry! więc to sen tylko — i wzrokiem pełnym wdzięczności spojrzał w poczciwe oczy siwej staruszki, pochylonej nad nim z macierzyńską troskliwością.

— Coś wam się strasznego musiało śnić paniczu, bo krzyczeliście aż okropność! Trzeba się pomodlić, bo takie sny to i życie wyssają, bo śmierć w zanadrzu noszą! A na wilgotnej ziemi spać nie trza, niezdrowo! Gościec albo i inne paskudne choróbsko przypłątać się może.

III.

— Matulu kochana! przebaczcie! już nigdy! matulu! macie tu swoje pieniądze! patrzcie są wszystkie. Ni grosika nie ruszyłem, choć mi głód kiszki skręcał! — darujcie matulu — całował spracowane ręce. — Nigdy, już nigdy... I robotę dostanę! patrzcie! patrzcie! kartkę mam od samej pani!

— Dobra, anielska Pani — powtórzyła matka — myśląc o tamtej wysoko ponad gwiazdami i tuląc do wyschłej piersi zalaną twarz jedynaka, słała swą duszę do stóp Jej w najgłębszej pokorze i bezbrzeżnem umiłowaniu.



KRÓL KURKOWY.



Nie ino u nas w Psiej Wólce, ale i w Zatraconej Wsi, i w Mościskach, i w Skawinie, i w Psiej Dziurce, i w Kociowoli, i w Sadlikiskach, a nawet w Warsiawie, Krakowie, u Lwowi, i inksych wsiach i miastach powiadają ludzie, ze teraz źle jest na świecie, ze juz i gorzej być ni moze. A mnie się widzi, ze brechają, jak ten kot na przypiecku, który nic bez cały dzień nie robi, ino mrucy, a dopiero nocą na bestefranty wychodzi. Bo jakby było tak źle, toby nie ino w niedzielę, ale i w kuzden dzień były kościółki nase przepełnione ludźmi, jusci nie cały dzień, ale chocby zrana i na „Majówce“, a u Srula, cy jakiego inksego Icka, oprócz satana za piecem, zadnej inksej dusyby nie zuźrał. Bo przecie powiada stare przysłowie, ze jak trwoga, to do Boga, widać, ze jesce tej trwogi niema, kiedy ludzie do Pana Boga się nie uciekają.

A porachujcie teraz wszyćkie kościoły w całem kraju. Nie wiem, ile tam tego wszyćkiego będzie, ale widzi mi się, ze nie przeciągnie ani dwóch tysięcy. A zliccie wszyćkie karcmy, to się przekonacie, ze będzie ich jakie kilkadziesiąt tysięcy. Bo przecie wiadomo, ze jeden kościół przypada na kilka wsi, a zasie w kuzdej wsi jest conajmniej jedna karcma, a casem jest ich i więcej. W kościele nawet sto ludzi ani jednego złotego nie straci, scególniej w dzień powszedni, a i w niedzielę niewiele więcej, bo tam co poniektóry da jaką grosinę na ochfiarę, a trafi się i taki, co rzuci na tackę guzika od portek. Nic nie dać, to go wstyd, bo coby powiedzieli kum Jacenty, jakby kum Walenty nie wyciągnęli ręki do tacy, a przecie w garść nikt nie patrzy, to tez nikt nie wie, co kto daje. A Poniezus ma w niedzielę tyle patrzenia po wszyćkich kościołach, to takze nie spenetruje, co kto dał: guzika, cy złotego. I nieraz jest tak, jak u tych zydów, co znosili wino na przyjęcie rabina. Jeden se myśli, ze zamiast flaski wina da flaskę wody, to w kupie tego nikt nie pozna. Ale i drugi, i trzeci, i dziesiąty pomyślał taksamo i stało się tak, ze zydzi naznosili całą beckę wody, a wina nie było ani krzty. Tak się tez dzieje nieraz i podcas składek kościelnych; wprawdzie guzika rzuci ino co poniektóry, bo przecie i guzik kostuje piniądze, ale prawie kuzden osuka Pana Boga grosikiem tak, ze jak jegomość potem zrachują cały uzbierany majątek po kościele, to przekonają się, ze do całego złotego jesce chmara grosy brakuje.

Tak jest w kościele, inacej jednak w karcmie. W karcmie za guzika, albo grosa zyd nawet wody nie da. Tam trzeba bulić piniądze i to nie byle jakie. Nie wiem, ile kielisek wódziary kostuje, bom go jesce nigdy w swojem zyciu nie kupował, ale zdaje mi się, ze nie mniej, jak jedna „Rola“ na tydzień. Chyba, ze zyd da komu ino zaprawionej wody wapnem i osmrodzonej wódką i policy za to mniej. Do karcmy przyjdzie kum z kumem, albo casem kuma z kumą. Dobre wase, dobre i moje; postawiliście wy kwaterkę, jakoze i ja ni mam postawić? I tak idzie kwaterecka za kwaterecką, a harendarz jaze ręce z ukontentowania zacira. A teraz porachujmy sobie tak na rozum. Niechby w całem kraju było ino tysiąc karcem, a jest ich chyba ogromnie więcej, bo przecie w takiej samej Warsiawie będzie ich do tysiąca; niechby w kuzdej karcmie przepili ludzie ino 10 złotych dziennie, to mielibyśmy juz dziennie przepitych 10.000 złotych. Grubaśne to piniądze, ale to jesce naprzeciw wiecności mucha. Porachujmy jednak, ile się z tego drobiazgu zrobi na rok? Nie wiem, cym dobrze obrachował, ale mnie się widzi, ze byłoby trzy miljony sześćset piędziesiąt tysięcy złotych. Ileby to za to postawił w kraju skół, a moze i parę kościołów?! A gdyby tak kto na gazetkę tylaśno piniądza dał, to chyba mogłaby wychodzić z durku co minutę.

A gdyby to ino tyle, toby tam jesce oblazło, bo wypadłoby na jednego cłeka w Polsce niewiele więcej, jak dziesięć grosy rocnie. Choć z bidą, ale moznaby jesce wytrzymać i ze złości nie popuścić, ale padał mi przecie jeden krakowski harendarz, ze u niego przepijają ludzie dziennie więcej jak 100 i 200 złotych. Mozna porachować, ileby to było w całym kraju.

To w samych karcmach wsiowskich i miastowych, a ile ludzie rocnie przechleją w chałpach? Powiadał mi jeden znajomy pan krakowski, ze jak był przed paru laty w Ciechocinku z wyciecką, to przy drugiem śniadaniu 14 chłopa wypiło 18 butelek litrowych pierwsorzędnej wódecki. A i ja sam znałem jednego leśnicę, ze jak się zesed z drugą leśnicą, a schodzili się codzień, to się nie roześli, póki nie wychleptali dwóch liter okowitki.

I dziwować się, ze wszelakie harendarze wsiowe kupują potem dwory, a miastowe kamienice! Jakze ni mają kupować, kiedy my na nich pracujemy, do ich kieseni bez przymusu pchamy piniądze i o nich się ino troscymy.

Nima źle na świecie! Dobrze jest na świecie. bo jakby źle było, tobyśmy grajcara na zadne wódcańskie paskudztwo nie wydali, alebyśmy go sanowali, jak jaką najładniejsą panienkę.

Dobrze jest na świecie, powiadam, a jesce lepiej będzie, jezeli dalej tak będziemy robili, jak dopotąd, a kto inacej powiada, to brese i kuniec.



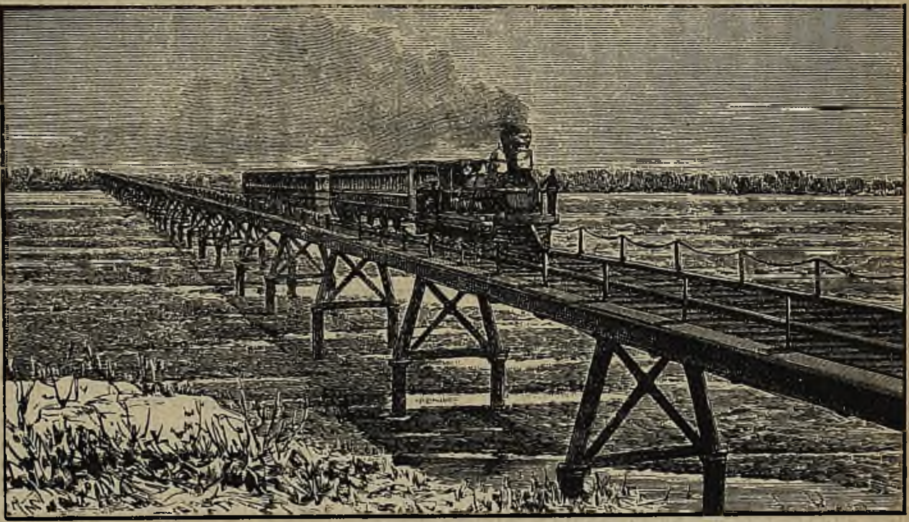
„Apel!“

Idźmy Bracia, w życie śmiali,
Pleśń niewoli otrząśnijmy;
Idźmy silni i wytrwali,
W życie naprzód! a nie śpijmy!
Byśmy znowu nie przespali
Tej wolności, jak przed laty;
Idźmy budzić; wielcy, mali,
Niosąc zgodę, w progi, w chaty!
Niechaj hasłem naszem będzie:
„Miłość, zgoda“, a nie swary!
Niechaj leci, ono wszędzie,
Budzić młodych, jak i starych!
Niechaj serca nasze spoi,
Miłość, zgoda, ukochania;
Więc krzyknijmy, Bracia moi,
Wiwat, Polska ukochana!
Pod tem hasłem więc pracujmy,
To, co polskie ukochajmy;
Polskę silną wybudujmy!
Lecz nie śpijmy! a czuwajmy!
Byśmy byli silni, zdrowi,
Gdy wróg puknie w nasze bramy!
Odkrzyknąć mu: My gotowi!
Nie damy Polski, nie damy!

Antoni Kurek.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Brazylja IV



Most kolejowy nad rzeką Rio Segundo.

Opisywaliśmy w poprzednim numerze „Roli“ podróż koleją brazylijską. Obecnie podajemy obrazek, przedstawiający most kolejowy nad rzeką Rio Segundo. Jak widzimy, podróż mogłaby tam być wcale przyjemna, gdyby nie niemożliwe nieporządki, jakie panują na tamtejszych kolejach. Most, uwidoczniony na naszym obrazku, jest bardzo długi, ale nadzwyczaj prymitywny, zdaje się zbudowany na zwykłych słupach drewnianych, coś więcej podobnego do zwykłej kładki, przeznaczonej do przechodzenia pieszego, aniżeli do przejazdu po nim ciężkich pociągów kolejowych. To też, jak to widzimy, przejeżdża po nim zaledwie lokomotywa i dwa wagony; pod większym zapewne ciężarem most łatwoby runął.

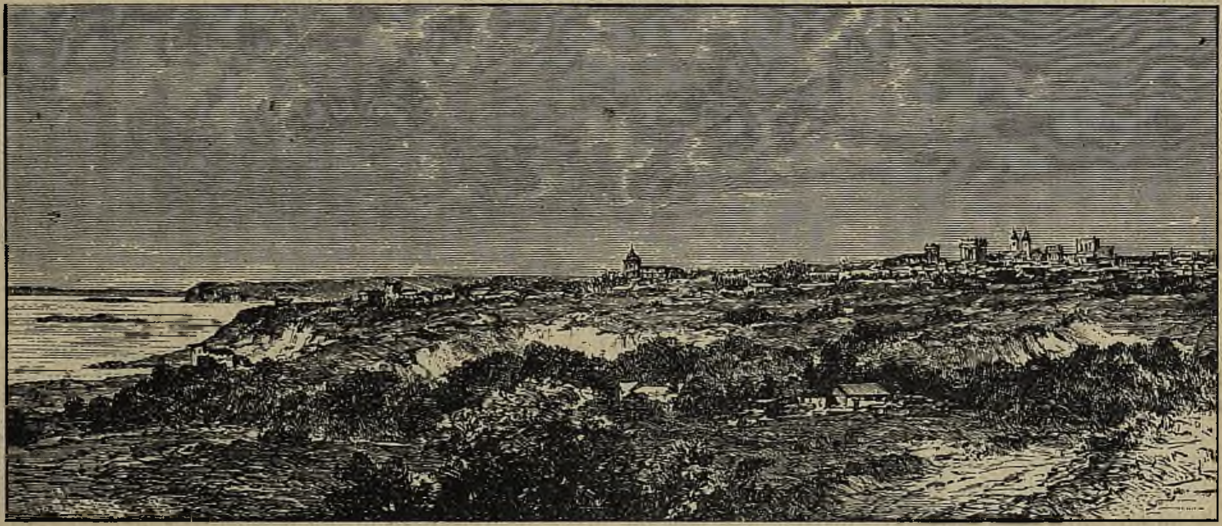
Jak to zaznaczyliśmy, w Brazylji mieszka wielu Polaków. Zajmują oni stan Paranę, leżącą na wybrzeżu Atlantyku w dorzeczu rzeki Parany. Parana obejmuje obszar 221.319 kilometrów kwadratowych, który jednak jest dość rzadko zaludniony. Pomimo, że wchodzi ona już w strefę międzywzrotnikową, jednakowoż wysokie wzniesienie wyżyny sprawia, że klimat tu wcale przyjemny, łagodny, panuje tu prawie wieczna wiosna. Pobrzeże Parany, które się ułożyło u skalistego granitowego progu wyżyny, ciągnącego się, jak mur, od ujścia Amazonki aż do pampasów, jest gorące, niezdrowe, malaryczne, i na niem uprawiają kawę, banany, ryż, bawełnę i trzcinę cukrową. Kraj na wyżynie, nazwany przez geografów brazylijskich krajem strefy zimnej, jest krainą zbóż europejskich i drzew szpilkowych. Płaskowyż Kurytyby wznosi się do 100 metrów nad poziom morza. Okrywają go olbrzymie lasy szpilkowe araukaryj, rozległe łąki i pastwiska, po których wypasują się stada bydła, a europejscy osadnicy uprawiają: żyto, pszenicę, jęczmień, ziemniaki, kukurudzę, hreczkę, maniok, czarną fasolę, tytoń, wino i owoce strefy umiarkowanej.

Klimat na wyżynie jest łagodny, podobny do klimatu Włoch lub Dalmacji. Najwyższa ciepłota dochodzi do 34 stopni, a najniższa do 4 stopni ciepła. Jak widzimy więc, zimy tam niema zupełnie, a mrozy są nadzwyczajną rzadkością, zdarzają się bowiem raz na kilkanaście lat, a śnieg jeżeli nawet czasem spadnie, to prawie natychmiast topnieje.

Ludność polska skoncentrowała się głównie wokoło stolicy kraju, Kurytyby, w licznych osadach, a nadto wzdłuż dolin spławnych rzek. Kurytyba zbudowana jest w pobliżu źródeł rzeki Iguassu.

Jednem ze znaczniejszych miast Parany jest port Paranagua, dokąd rodacy nasi dowożą swe produkty kolejami lub wozami, a stamtąd płyną one okrętami w świat szeroki. Paranaguę widzimy na naszym drugim obrazku. Jak łatwo można zauważyć, nie jest to miasto zbyt wielkie, a okolica jego niebogata.

Pierwszymi osadnikami polskimi w Brazylji byli nasi rodacy ze Śląska, którzy przybyli z emigrantami niemieckimi do stanu St. Catharina. Była to jednak okolica tak gorąca, że Polacy w niej wytrzymać nie mogli i przesiedlili się do stanu Parana, gdzie mieszkańcy Kurytyby, małej i lichej podówczas mieściny, dali im ziemię do uprawy, a nadto dostarczyli zarobku przy budowie drogi. Odtąd za-



Port brazylijski Paranagua.

częli napływać Polacy w te okolice. I tak w roku 1873 przybyły z Prus zachodnich 64 rodziny polskie, następnie przybywali Polacy z b. Galicji. Kurytybę połączono koleją z portem Paranagua i stolica Parany stała się ogniskiem kolei. Napływ Polaków zwiększał się do tego stopnia, że wokoło Kurytyby powstał wieniec osad polskich. W czasie od roku 1890—1892 przybyło 30.000 rodzin polskich z b. Kongresówki. Do nich przyłączyli się Łotysze, Litwini i Rusini i osiedlili się nad rzeką Iguassu. W latach 1895—1897 przybyło 35.000 Polaków z b. Galicji. Stosunkowo w krótkim czasie powstały 83 osady polskie z ludnością, wynoszącą przeszło 100.000 głów. Wygląd stolicy Parany i innych miast zmienił się do niepoznania, przybrał wygląd europejski. Polacy mają tu swoje szkoły, kościoły, gazetki, zajęli swojemi osadami główne szlaki komunikacyjne, dotarli do Iguassu, rzeki tak wielkiej i spławnej, jak Wisła, zajęli nadto dolinę rzeki Rio Negro, dopływ Iguassu. Ponadto rozprószyli się po różnych miastach brazylijskich. Najgorszą rzeczą jest to, że oświata wśród rodaków naszych w Brazylji stoi jeszcze na niskim stopniu, to też dają się łatwo wyzyskiwać przez ludzi innych narodowości, a zwłaszcza przez Niemców.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Król kurkowy.

Nazwa króla kurkowego zapewne nie każdemu jest znana. Niejeden słyszał o królu polskim, rumuńskim czy żydowskim, a choćby o królu w kartach, albo w szachach, ale o królu kurkowym zielonego pojęcia nie ma. A przecież król taki istnieje i to niedalej, jak u nas w Krakowie. A zmienia się co roku. Przy ulicy Lubicz w Krakowie jest ogród Strzelecki, a w nim budynek, własność Towarzystwa strzeleckiego. Zbierają się tam miłośnicy strzelania i do ustawionego w pewnej odległości kura (koguta) strzelają kolejno. Oczywiście kur nie jest żywy, ale sztuczny. Celne strzały odtrącają mu ogon, skrzydła, dziurawią tułów, ale to jeszcze niema znaczenia. Można i dziesięć razy trafić w kura, ale to jeszcze nic nie znaczy: za to nie zostaje się królem. Królem zostaje obwołany ten, kto odtrąci łeb kurowi; jego obwołują królem kurkowym na cały rok, aż do następnej strzelaniny. Oczywiście król kurkowy sprawia potem ucztę dla swych poddanych, podczas której wszyscy bawią się ochoczo a statecznie.

W dawniejszych czasach takiego króla kurkowego oprowadzano w tryumfie po ulicach Krakowa, jak to widzimy na obrazku, zamieszczonym na piątej stronie „Król" niesie owego kura, towarzysze jego i służba kroczą obok niego z pochodniami i z przyborami strzeleckiemi, a małe dzieci gapią się na rzadko spotykany pochód. Dziś uroczystość cała kończy się wewnątrz ogrodu i budynku strzeleckiego.

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ XVIII.

Godfrey podniósł biedaka i uważnie mu się przyjrzał. Był to człowiek, mogący liczyć 35 lat, noszący tylko opaskę koło bioder. Rysy i kształt głowy świadczyły, że jest Murzynem afrykańskim. Niepodobna go było utożsamiać ze zwyrodniałymi mieszkańcami wysp polinezyjskich, których spłaszczone czaszki i długie ramiona raczej upodabniają do małp, niż do ludzi. Jakim sposobem Murzyn ze Sudanu lub Abisynji wpadł w ręce tubylców z jakiegoś archipelagu na Oceanie Spokojnym, tego możnaby się było dowiedzieć tylko od niego samego. Niestety, okazało się, że nieszczęśliwiec zna tylko jakieś narzecze dzikich, a nie rozumie żadnego z trzech języków, w których Godfrey kolejno zadawał mu pytania.

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, Godfrey na znaki dał mu do zrozumienia, że chce wiedzieć, jak się nazywa.

Po kilku bezowocnych próbach, Murzyn, mający twarz bardzo inteligentną i uczciwą, zrozumiał o co chodzi i rzekł:

— Karefinotu!

— Karefinotu! — wykrzyknął Tartelett. — Coś podobnego! Czy kto kiedy słyszał o takiem imieniu! Ja proponuję, by go nazwać Środaszkiem, bo dziś przecież środa. Nie rozumiem istotnie, jak można się nazywać Karefinotu!

— Skoro się jednak tak nazywa, to dlaczegoż nie miałby zachować swego imienia? — odparł Godfrey.

W tej chwili uczuł, że jakaś ręka dotyka jego piersi, a twarz Murzyna mimiką wyraża zapytanie, jak on się nazywa.

— Godfrey — brzmiała odpowiedź.

Murzyn spróbował powtórzyć to słowo, lecz dobre chęci spotkały się z oporem nieprzezwyciężonym jego języka. Tedy zwrócił się do Tarteletta, dając do poznania, że pragnie poznać jego imię.

— Tartelett — nie bez dumy rzekł profesor.

— Tartelett — powtórzył odrazu Karefinotu.

To połączenie głosek nie sprawiało mu żadnej trudności, gdyż powtórzył imię profesora bardzo wyraźnie, z czego Tartelett był wielce zadowolony.

Godfrey chciał odrazu skorzystać z inteligencji Murzyna i dał mu do zrozumienia, że radby się dowiedzieć nazwy wyspy. Zataczał ręką dokoła, obejmując niejako widnokrąg: morze wzgórze, wybrzeże, poczem pytające spojrzenie utkwił w dzikim.

Karefinotu nie odrazu się domyślił, o co chodzi. Następnie, naśladując gest Godfreya, powiódł spojrzeniem po całem otoczeniu i rzekł:

— Arneka.

— Arneka? — powtórzył Godfrey, nogą uderzając o ziemię dla dokładniejszego wyrażenia swego pytania.

— Arneka — powtórzył Murzyn.

Nazwa ta nic nie wyjaśniła Gofreyowi, bo nie mógł z niej wymiarkować nawet położenia geograficznego. Widocznie dzicy mają inne nazwy wysp, nieznane geografom. Karefinotu tymczasem uporczywie przyglądał się białym ludziom, podchodząc to do jednego, to do drugiego, jakgdyby w ten sposób chciał poznać ich cechy wspólne i przeciwieństwa. Przy tej obserwacji usta jego rozszerzyły się śmiechem, odsłaniając dwa rzędy lśniących silnych zębów, które w Tartelecie wzbudziły pewne obawy.

— Jeśli te zęby nie szarpały już ludzkiego ciała, to niech mi się moje skrzypce rozlecą na sto kawałków!

— W każdym razie towarzysz nasz nie nadaje się na pieczeń na rożnie — oświadczył Godfrey. —

ą o to mi przecież chodziło, by go od losu tego uchronić.

Największe zainteresowanie budziła w dzikim broń, co Godfrey zauważył z przyjemnością. Widocznem było, że ten dziki nigdy jeszcze nie widział broni. Czy rozumie, że ta żelazna rura uratowała mu życie? Chyba nic!



Poczuł, że jakaś ręka dotyka jego piersi.

Godfrey, nie bez powodu, chciał go uświadomić co do wielkiej potęgi białych. Nabił przeto strzelbę, wskazał dzikiemu przelatującą o pięćdziesiąt kroków kuropatwę i wymierzył. Ptak zatrzepotał skrzydłami i padł.

Na odgłos strzału dziki wykonał skok, który profesorowi tańców wyrwał okrzyk szczerego podziwu. Następnie przezwyciężając swój strach, niby pies gończy skoczył ku miejscu, na którem leżał martwy już ptak i przyniósł go swemu panu, nawpół uradowany, nawpół pomięszany.

Tartelett zapragnął dowieść dzikiemu, że on również posiada władzę miotania gromów. Zobaczywszy przeto kaczkę, spokojnie pływającą po bagnie, zaczął do niej mierzyć.

Godfrey chwycił go jednak za rękę i rzekł:

— Proszę nie strzelać!

— Bo gdyby pan nie trafił, to w oczach tego dzikiego stracilibyśmy bardzo wiele.

— Dlaczegoż miałbym nie trafić? — rzekł Tartelett tonem urażonym. — Czyż na polu bitwy, po raz pierwszy w życiu nosząc broń, nie ugodziłem tego dzikiego w samo serce?

— Niewątpliwie go pan ugodził, skoro upadł — odparł Godfrey. — Niemniej pana proszę, by dla wspólnego naszego dobra, nie próbował szczęścia po raz drugi.

Trochę podrażniony, Tartelett dał się jednak przekonać i z miną doświadczonego żołnierza powiesiwszy znów strzelbę przez ramię, w towarzystwie Godfreya i Karefinota wrócił do drzewa Wilhelma.

Mieszkanie w wydrążeniu drzewa przejęło dzikiego najwyższym podziwem dla mieszkańców wyspy Finy. Przedewszystkiem pokazano mu, do czego służą rozmaite narzędzia i przyrządy. Karenofitu należał widocznie do dzikich, pozostających na najniższym stopniu kultury, gdyż nie znał nawet żelaza. Nie mógł pojąć, że garnek ustawiony na rozżarzonych węglach, nie spala się wraz z niemi. Chciał go też wyrwać z płomieni, ku najwyższemu niezadowoleniu Tarteletta, sprawującego urząd kuchmistrza. Gdy mu pokazano zwierciadło, stanął całkiem oszołomiony, a po chwili odwrócił je, szukając za niem własnej osoby.

— Toż to poprostu małpa, a nie człowiek! — wykrzyknął Tartelett tonem pogardy.

— Wcale tak nie jest — odparł Godfrey. — Już to jedno, że odwrócił zwierciadło, szukając przyczyny odbicia swej postaci, świadczy, że umie się zastanawiać, czego nie czyni żadna małpa.

— Być może, że nie jest małpą — zgodził się Tartelett, aczkolwiek ton jego świadczył, że nie jest tego pewnym. — Nie sądzę jednak, by takie stworzenie mogło nam się na coś przydać.

— A ja jestem przekonany, że odda nam niejedną przysługę! — rzekł Godfrey.

Karefinotu nie był wcale wybredny w jedzeniu. Najpierw powąchał potrawy, następnie skosztował, a po chwili talerze jego były jak wymyte: zupa z królika, kuropatwa, zastrzelona przez Godfreya i udziec barani, po części tylko zaspokoiły jego głód.

— Ma biedak apetyt niezgorszy — zauważył Godfrey.

— Tak — potwierdził Tartelett — to też sądzę, że należy się mieć na baczności przed jego popędami ludożerczemi.

— Bądź pan spokojny! Już my go od nich oduczymy.

— Jabym nie był tak bardzo pewny — melancholijnie odparł profesor. — Tygrys, który raz żłopał świeżą krew...

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wiosenko!...

O, idziesz już do nas,
wiosenko, wiosenko!
w tęczowych koronach,
w ptaszęcym podźwięku,
o, idziesz już do nas,
w snach długich tęskniona,
wiosenko, wiosenko!...
A tak nam cię trzeba,
wiosenko, wiosenko!...
na płonych ziem glebach,
oranych udręką!
A tak nam cię trzeba,
jak na wsze dni chleba,
wiosenko, wiosenko!...
Gdy lata wciąż gasną,
wiosenko, wiosenko!...
tyś wiarą im jasną,
że przyjdzie kres mękom,
gdy lata wciąż gasną
jesienią trwan własną,
wiosenko, wiosenko!...
Pieśń twoja powiała,
wiosenko, wiosenko!...
po złociach, podbiałach,
ku srebrnym wierzb pękom,
pieśń twoja powiała,
gdzie chata, gdzie biała,
wiosenko, wiosenko!...
I budzą się dusze,
wiosenko, wiosenko!...
w radości, otusze,
z żniw szczodrych poręką;
i budzą się dusze
oracze, pastusze,
wiosenko, wiosenko!...
Bo idziesz już do nas,
wiosenko, wiosenko!...
w tęczowych koronach,
w ptaszęcym podźwięku,
bo idziesz już do nas,
o, pieśni tęskniona,
wiosenko, wiosenko!...

Franciszek Surówka.

Kto jest twórcą Litanji do Najświętszej Panny?

(Legenda).

Kiedy Pan Jezus był jeszcze małym chłopczyną, często pieścił się bardzo tkliwie z Matuchną Swoją Najświętszą. Tak raz bawiąc się na kolanach Przeczystej Dziewicy, objął Ją za szyję malutkiemi rączkami i zaczął pieszczotliwe, a piękne bardzo dawać Matce Swojej tytuły, i tak mówił:

— Święta Marjo, Święta Boża Rodzicielko, Święta Panno nad pannami — i tak dalej a dalej, aż wypowiedział wszystkie te nazwy, z których się składa Litanja do Najświętszej Panny.

Matka Boska nie chciała przerywać Jezusinkowi i z niewypowiedzianą rozkoszą i słodyczą słuchała tej miłej mowy Synaczka Swojego: uśmiechała się tylko i cieszyła.

Dopiero gdy Pan Jezus doszedł do słów: Królowo korony polskiej, a Boską mocą Swoją dał Najświętszej Pannie widzieć w duszy całą niedolę Ojczyzny naszej, wszystkie nieszczęścia, krzywdy i łzy nasze, zwłaszcza przez Moskala zadawane, Serce Matki Najświętszej ścisnęło się boleśnie na widok takiej niedoli narodu naszego, który Ją miał wybrać na Swoją Królowę, więc łzy Jej w Oczach świętych stanęły, przytuliła mocno Pana Jezusa do Serca Swego i zawołała serdecznie:

— Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, wysłuchaj mnie Panie! Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, przepuść im Panie! Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nimi Panie!

A Pan Jezus na tę serdeczną prośbę Matki Swojej Najświętszej rzekł uroczyście: „Amen“.

Tak powstała Litanja do Najświętszej Panny.

Amen — to słowo hebrajskie — znaczy po naszemu: Niech się stanie. I stało się to, o co prosiła Syna Swego Najświętsza Marja Panna, Królowa korony polskiej: Jezus wysłuchał próśb Swej świętej Rodzicielki, odpuścił nam winy i zmiłował się nad nami, wyswabadzając Ojczyznę naszą z niewoli wrogów.

Wesele Franka.

(Kartka z koszmarnych dni, poświęcona ob. Górnemu.)

W blasku złotego słońca, szła wiosna śmiejąca się szczęściem, strojna w jaśminy, konwalje i bzy — i pokrywała zieloną runią żółte mogiły, usypane niedawno okrutną ręką wojny.

Z ziemi polskiej ustąpił był jeden wróg — Moskal, znacząc ślady za sobą krwawą pożogą, ale na jego miejscu panoszył się jeszcze drugi w niemieckiej „pikielhaubie“, i żelazną łapą starał się uginać twarde karki walczących Polaków.

W zieloną sobotę miał się odbyć ślub Franka „Górala“, żołnierza tajnej organizacji wojskowej, z uroczą Zosią wójtowną, patrjotką polską i pracowniczką społeczną.

Franek wybierał się jechać. Przywdział już swoją barwną sukmanę, w której wyglądał junacko i butnie, i przygarniając w tył bujną czuprynę, opadającą mu niesfornie na szerokie czoło, spoglądał w okno zamyślony.

Przed domem stały zaprzężone siwosze, przybrane w kokardy i szarfy, a na koźle siedząc, trzaskał wesoło z bicza wierny służący, który przez długi czas ukrywał się przedtem u Franka, ścigany przez Moskali za sprawy polityczne.

Matka Franka, krzątając się po izbie, zabierała jeszcze to i owo, szykując się z pośpiechem do podróży, na ślub swego jedynaka.

Nagle, stojący na środku izby Franek, drgnął i z natężeniem wpatrzył się w widnokrąg otwartego okna.

— Cóż tam Franuś ujrzałeś, że się tak wpatrujesz? — zagadnęła i z niepokojem skierowała spojrzenie, w ślad za spojrzeniem syna. I nagle przybladła jej twarz, a drżące usta wyrzuciły słowa pełne niepokoju:

— Żandarmi idą do nas!

— Tak! idą tu! Ale czego oni chcą u djaska! — zawołał Franuś.

— Może zechcą zarekwirować resztę zboża i kartofli — odpowiedziała niepewnie matka i zamilkła, gdyż w tej chwili otworzyły się drzwi i do mieszkania weszło trzech uzbrojonych niemieckich żandarmów.

— Czy tu mieszka Franciszek „Góral“? — zapytał jeden łamaną polszczyzną.

— Tak! ja nim jestem! — odparł spokojnie Franek. — Ale czego odemnie chcecie?

— Pójdzie pan z nami na posterunek, a tam się dowie o wszystkiem.

— Masz tobie! spóźnię się na oznaczoną godzinę, a tam Zosia będzie niespokojnie wyczekiwać! — zawołał Franek, zwracając się do matki. Ale po chwili, zwróciwszy się do żandarmów, rzekł już spokojnie:

— Ano, jak iść, to iść, nie marnować czasu!

Zrzucił z siebie barwną sukmanę, a przywdziawszy codzienne odzienie, w parę minut gotów był już do drogi.

— I ja pójdę z tobą Franuś, — rzekła matka — chcę wiedzieć co cię tam spotka, gdyż czas nagli i trzeba się śpieszyć, ażeby zdążyć na oznaczoną godzinę ślubu.

— Dobrze matuś! chodźmy!

Wkrótce stanęli wszyscy na posterunku żandarmerji, gdzie ze zdziwieniem ujrzał Franek trzech obecnych tam już kolegów Peowiaków, z któremi wspólnie pracował, dążąc do wyzwolenia Ojczyzny z niewoli wrogów.

Na posterunku „wachmajster“, czekał już na Franka, a kiedy ten zapytał, czego od niego żąda — otrzymał lakoniczną odpowiedź, że jest aresztowany, wraz z trzema obecnymi kolegami.

Przez serce Franka przemknęła nagle wściekła burza rozpaczy i buntu. Niebieskie jego oczy pociemniały nienawiścią i rzuciły gromy na wrogich ciemięzców, ale ręce zacisnęły się w bezsilnej niemocy. Po chwili, opanowawszy gorycz słów cisnących się na usta, stłumionym głosem przemówił do wachmajstra:

— Czy pan wachmistrz wie o tem, że za parę godzin odbyć się ma mój ślub i że mnie tam oczekują z niepokojem? A pan mi mówi, że jestem aresztowany!

— Otrzymałem taki rozkaz — odparł lakonicznie żandarm.

— Ale zaco, dlaczego mnie aresztujecie?! — pytał natarczywie Franek.

— Dowie się pan szczegółów w „Krejskomendzie“, gdy pana tam odwiozą.

— Panie wachmistrzu, proszę mnie zwolnić do jutra, a daję panu słowo honoru, że jutro sam stawię się na posterunek i zawieziecie mnie, gdzie tylko zechcecie.

— Otrzymałem rozkaz aresztowania pana dziś i nic panu poradzić nie mogę! — odpowiedział twardym głosem nieubłagany żandarm.

Ponuro spojrzał Franek na stojących żandarmówmów, a nie wyrzekłszy ani słowa, poddał się zrezygnowany, nieubłaganej sile konieczności.

Tegoż jeszcze dnia, czterech Peowiaków odwieziono do „Krejskomendy“, a potem osadzono ich w więzieniu, gdzie doznając najrozmaitszych udręczeń, a między innemi „głodówek“, któremi to Niemcy i Austrjacy zwykli byli dręczyć swoich więźni, przesiedzieli przez cały miesiąc, bez żadnej sprawy, aż wreszcie, nie mogąc udowodnić im żadnej winy, prócz tej, że byli krzewicielami polskiej niepodległości, wypuszczono ich z powrotem na wolność.

W parę tygodni potem odbył się cichy ślub Franka „Górala“, z uroczą Zosią wójtowną. Oboje młodzi w strojach narodowych, tworzyli dorodną parę, na którą wszystkich oczy w kościele zwrócone były, a setki powinszowań płynęło za niemi, błogosławiąc ją słowami: Szczęść wam Boże!

Kachna Łęczynianka-Łza.

Poradnik gospodarczy.

Hodowla bydła rogatego.

Krowy. Gospodarska krowa, mająca dać dużo mleka i dobry przychowek, powinna być przedewszystkiem zdrową, łagodną i tak do miejscowej paszy, jak wprowadzonego porządku, przyzwyczajoną.

Potrzeba więc, zaczynając gospodarkę, nabyć krowy z dobrego gniazda, najlepiej u swojaków lub rodziny, bo na jarmarku dobrej krowy nie kupisz. Każdy sprzedaje krowę, gdy się w niej wady pokażą. O wiele lepiej korzysta gospodarz, który krowę nabytą ze znanego domu zapłaci drożej, byle był pewny, że ona ukrytych wad nie ma. Jeżeli krowa jest młoda i żarta, to chociażby w początkach nie dawała wiele mleka, potrzymać ją należy na dobrej paszy przez jeden rok i drugi, a przekona się każdy, że krowa rozdoi się znacznie. Albowiem ta krowa największe zyski daje, która jest do miejscowej paszy przyzwyczajoną.

Dojne krowy dadzą dużo dobrego mleka, jeżeli mają zawsze paszy dostatek — smacznej i pożywnej, podawanej codziennie w tych samych godzinach.

Potrzeba więc trzymać tyle tylko krów, aby mieć paszy dla nich dość, a nigdy nie stawiać za wiele bydła, bo głodzone bydło nietylko mleko zgubi, ale i gnój zjada. Gospodarz powinien przeto przysposobić różnej paszy dużo, a nawet korzystnem będzie, jeżeli mu paszy na wiosnę zostanie, by mógł jaką sztukę podtuczyć i sprzedać na mięso.

Najtańszą a najzdrowszą paszą jest dobre siano z łąki, pogodnie sprzątnięte; przedewszystkiem więc każdy powinien poprawiać łąki. W obecnym czasie może rolnik mieć dobre korzyści z gospodarki, jeżeli mu bydło daje dużo dochodu, a zwłaszcza jeżeli krowy dużo mleka tłustego dają; korzyści osiągnie ten tylko, kto nagromadził zapas paszy wystarczający i kto krów należycie dogląda.

Krowa cielna w ostatnim miesiącu ciężarności już nie tak wiele potrzebuje paszy, jak dojna; zwykle jest w dobrym stanie mięsnym, czasem nawet bywają cielne krowy bardzo tłuste, a to na dobre nie wyjdzie, bo i cielę będzie małe, jeśli krowa tłusta zbytecznie, i uchowanie takiego cielęcia będzie trudne.

Potrzeba więc krowy cielne żywić, o ile można, suchą paszą, nie dawać im szczególniej buraków, ani wyżymków z cukrowni.

Wszelkie kłęby nadpsute lub zmarzłe są dla krowy cielnej trucizną, takich więc wcale dawać nie należy, bo one i jałowym krowom szkodzą. Mając jakiś zapas nabolałych ziemniaków, można je zużyć, wrzuciwszy do pieca po wyjęciu chleba. Można je także rozkładać codziennie na blasze kuchennej, a tak wysuszone psuć się dalej nie będą.

Hodowla bydła rasowego. Gospodarz, na większej roli osiadły, jeżeli mu się wiedzie hodowla bydła rogatego, jeżeli ma stajnię widną, ciepłą i przewiewną, jeżeli paszy ma dostatek, a pastwiska dobre, nie wspólne i nie lasowe; jeżeli wreszcie wprowadził już porządek w regularnem żywieniu bydła i umie utrzymać około bydła czystość, a na bydlęciu się zna, — niechaj hoduje bydło rasowe, aby nietylko mieć dochód z mleka, lecz aby mógł odchowane od sześciu przynajmniej miesięcy, a lepiej roczne, byczki, sprzedawać jako rozpłodniki, bo za takowe otrzyma często znacznie wyższą cenę, niż za wołu.

Wiele rasowego bydła odrazu kupować nie można, bo czystej krwi bydło jakiejbądź rasy jest drogiem. Chcąc zaprowadzić hodowlę bydła rasowego, trzeba przedewszystkiem rozpatrzyć się gruntownie tak w miejscowych warunkach gospodarstwa, jak w potrzebie okolicznych gospodarstw, i jeżeli gospodarz ma pewność, że mu rasową młodzież jako rozpłodniki rozkupią po odpowiedniej cenie, niechaj nabędzie 2 lub więcej jałowic rocznych.

Cielę rasowe od pierwiastki potrzeba pozostawić przy cycku 8 tygodni, dając mu już po 4 tygodniach owsa i siana słodkiego, ile zje. Cielę, które ma się chować jako rozpłodnik rasowy, czy to byczek, czy cielica, nie powinno się opasać, lecz utrzymać je należy zawsze w dobrym stanie mięsnym. Aby w czasie odsadzania nie schudło i wyrastało równomiernie, nie tracąc mięsa mlecznego, którego ssąc matkę nabrało, potrzeba je jeszcze 9-ty tydzień dopuszczać dwa razy dziennie do cycka, tak samo 10-ty tydzień, a w 11-tym tygodniu już tylko raz dziennie wieczorem — młodą krowę zaś doić dwa razy dziennie, tak, że tym sposobem odchowane cielę, skończywszy 3 miesiące, do matki już się puszczać nie będzie.

Takiemu cielęciu należy owsa dać do sytości, a jeśli się zauważy, że cielę nabywa dużego brzucha, dawać mu siano wymiarem, aby go zanadto nie pochłaniało. Pić wodę nauczy się prędko, gdy w kojcu, w którym się cielę na suchej podściółce trzyma, będzie zawsze stało naczynie, świeżą wodą źródlaną lub rzeczną napełnione.

Ważnem jest, aby cielę nie było ciągle zamknięte w kojcu, lecz aby zawsze w pogodę przepędzało jakiś czas pod gołem niebem; od połowy maja zaś przepędzać powinno cały dzień na okólniku, gdzie powinna być trawka nie kwaśna i kilka drzew, pod któremiby się cielęta przed upałami chroniły.

KRONIKA.

Obniżka płac urzędniczych. Jak było do przewidzenia, obniżka płac urzędniczych o 15 % wywołała wśród interesowanych wielkie przygnębienie. Urzędnicy wszelkich kategoryj zwołują wiece protestacyjne i wysyłają na ręce rządu rezolucje, wykazujące, że większość urzędników z obciętych poborów wyżyć nie potrafi. Wszak urzędnicy w innych państwach mają znacznie wyższe pobory, a i tak im się nie przelewa, a cóż dopiero u nas. Zarzucają przytem ministrowi Matuszewskiemu, że niemal do ostatniej chwili zapewniał urzędników, że o obniżce ich poborów nie myśli, a chwyciłby się jej dopiero po wyzyskaniu wszystkich innych środków. Środków tych jednak się nie chwycił, a pobory obciął. Ale nietylko urzędnicy protestują, lecz idą za nimi kupcy, bo coraz większy objawia się zastój w handlu, za nim pójdzie zastój w przemyśle i rzemiośle, a więc i stąd należy spodziewać się protestów. Gdy ucierpi handel i przemysł, ucierpieć musi również i rolnictwo, bo cała gospodarka społeczna idzie przecież zawsze w parze. Gdy jedna warstwa społeczeństwa jest w jakikolwiek sposób wyłącznie pokrzywdzona, to chociaż ona tę krzywdę najbardziej i bezpośrednio odczuwa, z czasem jednak muszą ją odczuć i inne warstwy niemniej dotkliwie. To też ani posłowi Wyrzykowskiemu, który wniosek obniżki poborów urzędniczych w Sejmie postawił, ani ministrowi Matuszewskiemu, który w myśl owego wniosku postąpił, nikt, ale to dosłownie nikt w Polsce nie będzie wdzięczny.

Wyłapanie groźnych bandytów. Władze policyjne w Drohobyczu zlikwidowały ostatnio nader groźną szajkę bandycką z hersztem na czele Wasylem Ciumykiem. Likwidacja bandytów i wyłapywanie ich po żmudnych dochodzeniach trwało siedm dni. Szajka ta, składająca się z pięciu opryszków i herszta Ciumyka, osobnika o kryminalnej przeszłości, operowała od dłuższego czasu na terenie powiatu drohobyckiego, szczególnie po wsiach: Wacowice, Stara wieś, Modrycz, Raniowice, Solec, Dereżyce, Kolpiec, oraz w samym Drohobyczu. W krótkim czasie, bo od 15 marca do 15 kwietnia dokonała szajka szeregu napadów, włamań i 14 kradzieży na szkodę mieszkańców wymienionych miejscowości, wyrządzając im ogromne straty. Większą część skradzionych przedmiotów sprawcy sprzedawali za bezcen paserom, których również wyśledzono i aresztowano. Niektóre rzeczy odebrano im i zwrócono poszkodowanym. Całą szajkę aresztowano wraz z paserami i odstawiono do sądu. Równocześnie posterunek policji państwowej w Słońsku powiatu drohobyckiego aresztował dwóch włamywaczy, 23 letniego Stefana Hrynkowa i 42 letniego Mikołaja Kobielnika, którzy po rozbiciu drzwi sztabą żelazną dostali się do sklepu Kółka rolniczego, skąd skradli 90 paczek tytoniu, 21 kg. wędlin, kilkanaście flaszek alkoholu, 20 paczek czekolady, 16 zł. w gotówce oraz szereg innych przedmiotów.

Pożar wsi. Do Łodzi nadeszła wiadomość o wielkim pożarze, który zniszczył 20 gospodarstw we wsi Przymiłów, pow. łaskiego. W niespełna pół godziny od wybuchu pożaru cała wieś stanęła w ogniu. Na ratunek przybyło kilkanaście oddziałów straży z okolic. Ratunek był jednak niezmiernie utrudniony z powodu dotkliwego braku wody. Nad ranem dopiero pożar umiejscowiono. Spaliło się 20 domów mieszkalnych, 15 stodół, 19 obór, różne zabudowania gospodarskie, wielka ilość inwentarza żywego i narzędzia rolnicze. Przyczyna pożaru nieustalona. Istnieje podejrzenie zbrodniczego podpalenia. W czasie pożaru kilku gospodarzy, usiłujących ratować swoje mienie, zostało dotkliwie poparzonych. Straty ogromne.

Kichająca komora celna. Widownią charakterystycznego zdarzenia była w tych dniach komora celna w Warszawie. Zajęci tam urzędnicy i pracownicy ulegli masowej epidemji kichania. Kichali wszyscy, od naczelnika począwszy, a na woźnym kończąc. Kichali wszyscy jednakowo donośnie, ciągle i serdecznie. Nie pomogło otwieranie okien. Niewidzialna przyczyna kichania ciągle wisiała w powietrzu, uniemożliwiając pracę. Około południa urzędnicy mieli już zawatowane nietylko nosy, ale i oczy. Większa część personalu płakała rzewnie. Powstały różne domysły. Sądzono nawet, że jest to złośliwość ze strony któregoś z deklarantów celnych. Ponieważ groziło to zupełnem zatrzymaniem pracy w urzędzie, wezwano policję i lekarza urzędu. Policjanci po krótkim czasie płakali razem z urzędnikami. Jedynie lekarz chodził, szperał, aż wreszcie znalazł przyczynę. Okazało się, że przyczyną były nieuszczelnione skrzynie stojące w magazynie, a zawierające jakiś proszek o lotności podobnej do talku, przeznaczony do konserwacji opon samochodowych. Natychmiast skrzynię wyniesiono z magazynu i zawiadomiono odbiorcę, ażeby coprędzej zabrał kłopotliwy ładunek. Wtedy dopiero wszystko wróciło znów do normalnego trybu i w całym urzędzie praca znów potoczyła się normalnie.

Tragiczna śmierć trzech podchorążych. Na Wiśle pod Modlinem wydarzyła się straszliwa katastrofa. 12 podchorążych szkoły podchorążych piechoty z Zambrowa pod dowództwem plutonowego zawodowego odbywało ćwiczenia pionierskie. Na specjalnie zbudowanej tratwie podchorążowie wypłynęli na Wisłę, gdy nagle tratwa poczęła tonąć. Z pośród załogi 8 podchorążych oraz plutonowy zawodowy skoczyło do wody, usiłując dotrzeć do brzegu. Tym udało się uratować, natomiast trzej podchorążowie rezerwy utonęli. Są to: kapral podchorąży Jan Skiba, student uniwersytetu warszawskiego, kapral podchor. Paweł Krusche, student politechniki warszawskiej oraz podchor. Stefan Kaluciński, student techniki z Poznania. Krusche osierocił żonę. Władze wojskowe wdrożyły energiczne śledztwo.

Cudowne ocalenie bohaterskiego kolejarza. Na dworcu kolejowym w Starogardzie w chwili ruszania pociągu wypadł z jednego z przedziałów ośmioletni chłopiec. Jeden z konduktorów błyskawicznym ruchem ręki wydobył chłopca z pod kół, ratując go w ten sposób, sam jednak wskutek nadmiernego nachylenia się stracił równowagę i wpadł pod koła. Na krzyk pasażerów maszynista momentalnie zatrzymał pociąg w ostatniej chwili, kiedy już koła wagonu dotykały szyji leżącego na torze kolejarza. Bohaterski konduktor ocalał wprost cudem.

Zasądzenie komisji wyborczej. Sąd okręgowy w Chojnicach na sesji wyjazdowej w Kościerzynie rozpatrywał sprawę komisji wyborczej miejscowości Płońce, pow. Kościerzyna, w składzie Piotra Gustowskiego przewodniczącego, Juljana Paubickiego wiceprzewodniczącego i członków Jana Kropidłowskiego, Alfonsa Gustowskiego i Pawła Gustowskiego, oskarżonych, że w czasie wyborów wrzucili do urny pewną ilość kartek z Nr 4 (endecka). Przewodniczący i wiceprzewodniczący skazani zostali każdy na 4 miesiące więzienia, zaś członkowie komisji po 3 miesiące każdy.

Plaga dzików. Z Kościerzyny donoszą: W lasach kaszubskich pojawiły liczne gromady dzików, które na tamtejszych polach oziminowych szerzą olbrzymie spustoszenia a nocami podchodzą nawet pod same wioski.

Włamanie do kościoła w Czeczowie. Nieznani narazie świętokradcy włamali się przez okno do kościoła w Czeczowie, gdzie w ohydny sposób zbeszcześcili ołtarze i porozbijali wszystkie skarbonki.

Prześladowanie Polaków w Gdańsku. W Gdańsku niema prawie tygodnia, aby tamtejsi Niemcy nie napadli na któregoś z Polaków i nie poturbowali go boleśnie. Zdarzyło się nawet, że Niemcy napadli na polskiego marynarza Jeżyka, wyrżnęli na jego piersiach krzyż, a władze gdańskie zamiast wyszukać i ukarać zbrodniarzy zasądziły Jeżyka na karę więzienia za rzekome oszczerstwo. Rząd polski wobec takiej niesprawiedliwości odniósł się do Ligi Narodów, aby ta wzięła Polaków gdańskich w swoją opiekę.

Jedenastoletnia mężatka. Niecodzienne małżeństwo zawarte zostało w Budapeszcie. Przed kilku dniami zjawiła się w jednym z urzędów policyjnych niejaka Joanna Rose, donosząc, iż córka jej 11-letnia Marja została uwiedziona przez sublokatora 40-letniego czeladnika piekarskiego. Wezwany przez policję piekarz przyznał się do zarzuconego mu czynu i pouczony przez swego adwokata, zaproponował matce zawarcie związku małżeńskiego z nieletnią Marją, która też do biura policyjnego została sprowadzona.



Matka, widząc przykrą sytuację, w jakiej córka jej się znalazła, zgodziła się na zawarcie ślubu i w tym celu zaraz poczyniono kroki. Onegdaj nadeszło zezwolenie odnośnych władz na zawarcie tego związku, wobec czego odbył się ślub tej nierównej pary w jednym z tamtejszych kościołów. W myśl ustawy jednak małoletnia Marja aż do 15 roku życia pozostanie przy matce.

Ofiara narkotyków. Morfina i kokaina stają się tyranami tych, którzy raz popadli pod ich władzę. Taksamo jak u nas wódka. Jak potężną jest ta namiętność, świadczy fakt, o którym donoszą gazety węgierskie. Przed niedawnym czasem u jednego z lekarzy budapeszteńskich zjawiła się elegancka dama, ubrana w wspaniałe futro, i zażądała od niego, aby jej wstrzyknął natychmiast morfinę lub kokainę. Gdy ten jednak wzbraniał się uczynić zadość jej życzeniu, szybkim ruchem zrzuciła z siebie futro i stanęła przed lekarzem zupełnie naga, poczem przyskoczywszy do okna, zagroziła mu, że jeżeli nie spełni jej żądania, zacznie wołać na ulicę, iż lekarz chciał ją zniewolić. Lekarz, obawiając się niezasłużonego skandalu, rad nie rad, spełnił żądanie owej damy, ale zastrzyknął jej nieco jakiegoś nieszkodliwego płynu. Baba uspokoiła się i odeszła. Ale nie na tem koniec. Dama, uzyskawszy tak łatwym sposobem dawkę trucizny, powtarzała swój proceder u innych lekarzy. Udawało się to jej przez pewien czas, aż ostatnio jeden z lekarzy, uprzedzony już przez kolegów o pojawianiu się niebezpiecznej pacjentki, zareagował w odpowiedni sposób. Zanim mogła przyskoczyć do okna, chwycił ją silnie jedną ręką, drugą zaś podniósł słuchawkę telefonu, oświadczając damie, że za wezwie pogotowie ratunkowe, aby ją jako obłąkaną odwieziono do zakładu dla umysłowo chorych. To poskutkowało. Przerażona kobieta głośnem łkaniem zaczęła błagać lekarza, aby zaniechał swego zamiaru. W zamian za to złożyła uroczyste przyrzeczenie, że już więcej nie będzie nagabywać lekarzy. Jako rękojmię podała swoje nazwisko. Jak się okazało, była to bogata pani, która tym sposobem zdobywała przez czas jakiś zakazaną truciznę.

Jedenastoletni bandyci w Rumunji. Na komisarjacie policji w Predeal pod Bukaresztem zjawił się pewien szofer, broczący krwią, dostawiając władzom skrępowanego jedenastoletniego chłopaka. Chłopak ten wraz z innym kolegą wsiedli do najętego auta i kazali się wieźć szoferowi do Predeal na spacer. Tu, w lesie, obaj wydobyli rewolwery i oddali kilka strzałów do szofera, raniąc go dwukrotnie w głowę i plecy. Szofer jednak rzucił się na nich i zmusił do ucieczki. Mimo ran pognał za nimi i schwytał jednego z odstrzeliwujących się chłopaków a po ubezwładnieniu przewiózł go na policję. Podczas składania zeznań szofer zemdlał wskutek upływu krwi. Chłopak i jego ujęty w obławie policyjnej towarzysz są uczniami jednego z gimnazjów bukareszteńskich i synami zamożnych rodziców.

Tragedja dwóch serc. W Monachium, stolicy Bawarji, wielkie wrażenie wywołała wiadomość, że znakomity rzeźbiarz tamtejszy, profesor Walentyn Kraus, wstąpił do zakonu OO. Benedyktynów w Schwarzbachu. Jak się obecnie okazało, powodem tego kroku prof. Krausa była tragedja miłosna. Prof. Kraus, liczący obecnie 48 lat życia, przed kilku laty poślubił młodziutką, piękną modelkę, Annę Werfel, panienkę zaledwie 18 letnią. Profesor niemal od pierwszego wejrzenia pokochał uroczą Hanusię, ale ze względu na różnicę wieku nic jej o tem nie mówił. Lecz i on nie był dla niej obojętny. Dziewczę, nieznające świata, pokochało również artystę, albo też zdawało jej się, że to miłość. Dość na tem, że sama oświadczyła swe uczucia mistrzowi. Kraus wahał się nieco, ale zdecydował się wkońcu i poślubił piękną panienkę. I zdawało się przez czas dłuższy rzeźbiarzowi, że wcale nie potrzebuje żałować swego lekkomyślnego kroku, gdyż młodziutka żona była do niego bardzo przywiązana i unikała wesołego światowego towarzystwa. Ale... bo cóż bez ale jest na tym świecie? Anna na drodze swego życia spotkała młodego poetę, Franciszka Dundena i pokochała go całem sercem. Teraz dopiero poznała, co to jest prawdziwa miłość. Zbyt uczciwa, aby zdradzić męża, wyznała mu wreszcie wszystko i oświadczyła, że musi go porzucić, aby pójść za swem prawdziwem uczuciem. Jednocześnie oznajmiła, że żywi dla męża szczerą i gorącą przyjaźń i pragnie nadal utrzymywać z nim przyjacielskie stosunki. Rzeźbiarz był zbyt szlachetny, aby stanąć na drodze młodej kobiecie, toteż zgodził się na rozwód... W krótki czas jednak potem rozeszła się wiadomość, iż wstępuje on do klasztoru. On w klasztorze po modlitwie będzie marzył o swej umiłowanej, a ona? I ona nie będzie mogła zapomnieć o tym, który okazał się tak szlachetnym. Oto tragedja dwóch serc... a może i trzech.

Wybór prezydenta Francji. W dniu 14 czerwca kończy się 7-mio letni okres urzędowania prezydenta republiki francuskiej, p. Gastona Doumergue'a. Wybór nowego prezydenta odbędzie się już w dniu 13 maja. Wyboru dokona Zgromadzenie Narodowe (składające się z członków Izby deputowanych (sejmu i senatu). Kandydat musi otrzymać absolutną większość głosów, aby być wybranym Najczęściej odbywają się dwa głosowania. Tym razem mogą odbyć się nawet trzy, gdyż występuje kilku poważnych kandydatów i głosy mogą być tak rozstrzelone, że w pierwszem i drugiem żaden kandydat nie otrzyma większości. Ale niczego nie można przesądzić, gdyż poszczególne obozy jeszcze nie wysunęły oficjalnie swoich kandydatów.

Tajna szajka młodocianych zbrodniarzy. Od roku już popełniane były w Meranie i okolicy liczne włamania i kradzieże. Tajemniczy włamywacze wdzierali się do pokoi pensjonatów i hoteli i okradali z kosztowności i garderoby kuracjuszów. Policja stawała na głowie, by wynaleźć przestępców. Jak zwykle, do wykrycia przestępców dopomógł wypadek. Miejscowy inspektor policji Degasperi był z wizytą u swoich dobrych znajomych Kuppelwieserow. 18 letni syn Kuppelwieserów Karol zabawiał gościa przegrywaniem najnowszych szlagierów na gramofonie. Inspektor zupełnie przypadkowo zwrócił uwagę, że nowy ten gramofon jest tej samej marki, jakiej był gramofon, skradziony przed niedawnym czasem w jednym z hoteli merańskich. Inspektor zapisał sobie w tajemnicy numer tego gramofonu i nazajutrz stwierdził ku swemu zdumieniu, że chodzi w tym wypadku faktycznie o skradziony gramofon. Inspektor wezwał młodego Kuppelwiesera do siebie i zapytał, skąd ma ten gramofon. Młodzieniec początkowo wykręcał się, lecz wreszcie zeznał, że instrument muzyczny otrzymał od swoich kolegów, absolwentów szkoły handlowej Kurta Lorenza i Hermana Schoegla. Obu młodzieńców aresztowano, a po wielu wykrętach przyznali się, że są członkami związku „Harry Peel“, do którego należy 11 młodzieńców merańskich. Związek był tajny, a członkowie jego składali sobie wzajemnie przysięgę, że nie zdradzą nigdy jeden drugiego. W krzyżowym ogniu pytań aresztowani zdradzili wszystkich towarzyszów, których policja aresztowała.

Niedźwiedzie w Pirenejach. W czasie polowania na dziki w Pirenerach dwaj myśliwi natknęli się na wysokości 2 190 metrów na wielkiego niedźwiedzia, który, będąc raniony przez jednego z myśliwych, rzucił się na niego, zanim ten zdążył włożyć nowy ładunek do sztucera. Na szczęście drugi myśliwy dwoma celnymi strzałami położył niedźwiedzia trupem. Pojawienie się tego drapieżnika w górach Pirenejskich wywołuje wielkie zdziwienie, gdyż panowało ogólne przekonanie, że niedźwiedzie zostały tam wytępione.

W paszczękach wilków. Gazety rosyjskie donoszą o niezwykłym wypadku, który wydarzył się z ekspedycją myśliwską, wysłaną przez sowiety do stepów mongolskich w celu wytępienia wielkich stad wilków, napadających wioski i trakty komunikacyjne Syberji. Ekspedycja podzielona na kilka oddziałów po sześć osób w każdym, udała się samochodami w kierunku legowisk wilczych. W rejonie miasta Bargi jeden z oddziałów spotkał się ze stadem wilków, liczącym około 40 sztuk. Na czele stada, zdążającego ku samochodowi stała, stara i doświadczona wilczyca olbrzymich wprost rozmiarów. Gdy myśliwi zbliżyli się do stada, wilki zaczęły rozsypywać się w tyraljerkę w poprzek drogi. Jeden z myśliwych kazał zatrzymać samochód i dał znak do strzału. Salwa myśliwych zwaliła z nóg wilczycę. Dalsze wydarzenia opowiada już ciężko ranny szofer, przebywający obecnie w szpitalu. Opowiada on, że całe stado wilków w mgnieniu oka zebrało się około trupa zabitej wilczycy, a następnie rzuciło się na samochód. Kierownik oddziału dał rozkaz szoferowi, aby ruszał naprzód. Większość myśliwych nie zdążyła nawet naładować broni, gdy wilki rzuciły się na samochód i w kilka sekund z karoserji pozostały szczątki. Wilki rzuciły się na ludzi i zaczęły ich ściągać z samochodu. Myśliwi rozpaczliwie bronili się kolbami. W kilka minut po rozpoczęciu rozpaczliwej walki z rozjuszonemi bestjami pięciu myśliwych zostało rozszarpanych na kawałki. Szofer, któremu w decydującej chwili motor odmówił posłuszeństwa, nie mógł ruszyć z miejsca. Wreszcie motor zawarkotał i auto ruszyło z miejsca. Kilka wilków rzuciło się ku przedniemu siedzeniu i zaczęło ściągać szofera na ziemię. Szofer wyłączył tłumik i zaczął dodawać gazu. Zmęczone walką i gonitwą wilki poczęły pozostawać w tyle. Wyczerpany fizycznie szofer zdołał jedynie odjechać kilkanaście kilometrów od miejsca wypadku, poczem siły odmówiły mu posłuszeństwa i zgasiwszy motor stanął na szosie. Znaleźli go myśliwi innego oddziału myśliwskiego, który po odesłaniu szofera do szpitala udał się na miejsce strasznego wypadku. Na szosie znaleziono jedynie obgryzione kości swych kolegów. Po tym wypadku władze sowieckie wydały myśliwym, polującym na wilki, granaty ręczne oraz lekkie karabiny maszynowe. Wypadek ten spowodował wysłanie dodatkowych oddziałów myśliwskich, które otrzymały polecenie wytępić wilki przed nastaniem wiosny.

Straszna katastrofa kolejowa. W pociągu osobowym na linji Kair-Aleksandrja w Egipcie wybuchł pożar. Trzy wagony trzeciej klasy spłonęły doszczętnie. Z pośród pasażerów 48 osób poniosło śmierć, przyczem wielu uległo zupełnemu zwęgleniu. 42 osób zostało ciężko rannych. Maszynista pociągu nie spostrzegł pożaru, wskutek czego nie zatrzymał maszyny. Wedle zeznań naocznych świadków, podczas katastrofy rozgrywały się sceny grozą przejmujące. Podróżni, ogarnięci paniką, naoślep wyskakiwali z płonących wagonów pędzącego całą parą pociągu. Rzadko któremu z nich udało się ujść cało, większość bowiem zabijała się lub odnosiła ciężkie rany, Matki, oszalałe z trwogi, wyrzucały swe dzieci i niemowlęta przez okna. Wzdłuż toru oprócz wielu zabitych i rannych dorosłych znaleziono także 8 zwłok dzieci. Pociąg zatrzymany został dopiero przez budnika, który maszyniście zwrócił uwagę na pożar pociągu. Przyczyna pożaru nie została jeszcze ustalona. Istnieje przypuszczenie, że ogień powstał od zagrzanej osi wagonu.

Nowa rewolucja w Brazylji. W Brazylji, o której piszemy w naszych „Podróżach po dalekich krajach“ wybuchła w tym roku już druga rewolucja. Zacięte walki powstańców z wojskami rządowemi rozpoczęły się w stanie San Paolo. Tego samego dnia jednak rewolucja została stłumiona.

Walki religijne w Indjach. Dziennik londyński „Morning Post“ ogłasza list zawierający szczegóły sensacyjne rozruchów w indyjskiem mieście Cawnpur. List ten, pisany prawdopodobnie przez Anglika, podaje wstrząsające opisy walk między Hindusami i muzułmanami. Wbrew doniesieniom prasy. w których podawano liczbę ofiar tych rozruchów na 200 zabitych i kilkuset rannych, autor listu, naoczny świadek rozruchów, stwierdza, iż rzeczywista liczba zabitych wynosi do 2 000 a rannych do 5.000. Trudno opisać okrucieństwo Hindusów względem ludności muzułmańskiej. Palono meczety i domy prywatne muzułmanów, przyczem miejscowa policja hinduska brała udział w rabowaniu domów i okradaniu zwłok.

RZECZY CIEKAWE.

Apetyt na ludzkie mięso.

Kanibalom, mieszkańcom wysp Karaibskich, którzy pożerają ciała zabitych nieprzyjaciół, przypadł w udziale dość wątpliwy zaszczyt, że ludożerców nazwano „Kanibalami". Kanibalizm, czyli ludożerstwo, możnaby nazwać chorobą dziedziczną rodzaju ludzkiego, gdyż jak uczą badania, wszystkie ludy były przed dawnemi czasy ludożercami. Także i w Europie było ludożerstwo silnie rozpowszechnione. Obecnie spotykamy je w okolicach podzwrotnikowych.

Przyczyny powstania ludożerstwa są różne. Mieszkańcy Ziemi Ognistej, czerwonoskórzy z okolicy zatoki Hudsońskiej, Botokudowie i inni pożerali mięso ludzkie z głodu. Wiele jednak ludów czyni to z przesądów. I tak Aszant zjada serce zabitego wroga, aby uchronić się przed prześladowaniem przez duszę zmarłego. Yamasowie nad rzeką Amazonką wierzą, że w ciała ich przechodzą dusze zmarłych wraz z wyssanym szpikiem z kości nieboszczyków.

Chłopcy Dajakków na wyspie Borneo dostają do zjedzenia skórę z czoła i serce nieprzyjaciół, gdyż dzięki temu zyskują podobno odwagę, męstwo i siłę. W Australji południowej starszy brat zyskuje siłę młodszego, skoro go pożre. W Quensland matki zjadają dzieci, aby wzmocnić swe siły. W kolonji Viktorja zabijano często nowonarodzone dziewczęta, gdyż ten tłuszcz miał być znakomitym środkiem na porost włosów. Za szczególnie wzmacniające uważano zjadanie nerek zabitych nieprzyjaciół. Massynoowie nad rzeką Amazonką zabijają i zjadają nieprzyjaciół z mściwości, chociaż czują taki wstręt przed mięsem ludzkiem, że każda uczta kanibalska kończy się wymiotami. U Karaibów i u plemienia Tupi jedynym powodem ludożerstwa jest mściwość. Tupi przyjmują nawet imię zjedzonego, aby przerwać w ten sposób jego życie duchowe.

Ludożerstwo jest najwstrętniejszym objawem tam, gdzie występuje jako chęć dogodzenia smakowi. Ma to miejsce u plemion Fan-Obotschi, Niam Niam i w Nowej Kaledonji. Na wyspach morza południowego ludożerstwo jest przywilejem bohaterów i wodzów.

W ogólności mięso białych cieszy się mniejszem powodzeniem, niż mięso ludzi kolorowych, gdyż — jak to twierdzą smakosze — tamci odżywiają się przeważnie pożywieniem zwierzęcem i czuć ich bardzo tytoniem.

Obecnie oddaje się ludożerstwu przynajmniej pięć miljonów ludzi, chociaż na szczęście okrucieństwo to maleje z dniem każdym dzięki działalności misjonarzy i innych przyjaciół ludzkości.

Dzieje fortepianu.

Fortepian bynajmniej nie jest taki stary, jak często przypuszczają jego miłośnicy. Fortepian powstał dopiero w początkach 18 stulecia.

Do tego czasu zaś znano tylko klawikord i klawicymbał, instrumenty, podobne w swej zasadniczej strukturze do dzisiejszego fortepianu. Klawikord był instrumentem muzycznym, zaopatrzonym w struny, z których wydobywano dźwięk zapomocą pewnego rodzaju pałeczek. Przy klawicymbale natomiast struny szarpano zapomocą pewnego rodzaju haczyków.

W r. 1719 znany twórca instumentów muzycznych Christofori podczas koncertu niemieckiego muzyka Pantaleona Hebenstreita w pałacu księcia Medici w Padwie ujrzał poraz pierwszy ciekawy instrument, który Niemcy nazywali „hackebrett". Była to mała płyta drewniana z licznemi strunami, pewnego rodzaju cymbały, z których wydobywano dźwięk zapomocą małych młoteczków, których główki owinięte były w płatki skórzane. Tony wydobywane w ten sposób, były niezwykle miłe i dźwięczne.

Ciekawy ten instrument naprowadził uczonego konstruktora instrumentów muzycznych na myśl zastosowania młoteczków przy klawicymbale. Specjalny przyrząd sprawiał, iż młoteczki po uderzeniu strun natychmiast podskakiwały znowu ku górze, tak, iż uderzona struna mogła swobodnie dźwięczeć.

Książę Medici, wielki przyjaciel muzyki, sfinansował genjalny pomysł Christoforiego, który w r. 1720 po licznych i bezskutecznych próbach zbudował pierwszy fortepian młoteczkowy. Coprawda wynalazku tego nie oczekiwał wielki sukces. Nikt nie chciał o nim słyszeć. Nazwisko Christoforiego poszło w zapomnienie i niewiadomo, coby się stało z jego wynalazkiem, gdyby nie był go podjął i udoskonalił sławny drezdeński budowniczy organów Silbermann.

Pierwszy fortepian, skonstruowany przez Christoforiego, znajduje się w muzeum Metropolitan w Nowym Yorku, drugi fortepian, zbudowany w r. 1726 znajduje się w posiadaniu prywatnem pewnego kolekcjonera florentyńskiego.

Jak się zabezpieczyć przed ogniem?

W dobie obecnej walka z ogniem ogranicza się przeważnie do interwencji straży na wypadek pożaru. Jednakże w wielu wypadkach sposób ten nie daje pożądanych rezultatów, zwłaszcza w wypadkach, gdy mamy do czynienia z nagromadzeniem łatwopalnych przedmiotów, jak np. ma to miejsce w teatrach, magazynach i t. p.

Jedynym i najlepszym sposobem zabezpieczenia się przed żywiołem ognia jest uczynić niepalnemi wszystkie łatwopalne materjały, aby w ten sposób zapobiec rozszerzaniu się ognia. Tego rodzaju preparatów impregnujących w handlu znajduje się bardzo wiele, jednak działanie ich jest ograniczone, jako że działają one przez krótki przeciąg czasu.

Do rzędu takich preparatów należy między innemi siarczan amonowy, który czyni przedmiot niepalnym, ale równocześnie niszczy włókna roślinne, tkaniny i barwniki. To samo odnosi się do chlorku cynku, ałunu, siarczanu glinu, magnezu i t. p. Jedyną zaletą tych preparatów jest to, że chronią przez pewien czas niedługi zresztą przeciąg czasu przed ogniem. Podobnem działaniem odznaczają się fosforany amonu, fosforany amonowo-magnezowe i chlorek magnezu, środki naogół najmniej szkodliwe dla tkanin i drzewa.

Działaniem trwałem odznaczają się niektóre tylko sole, jak cyniany i wolfzamiany sodu, jednak ze względu na cenę nie mogą one znaleźć powszechnego zastosowania.

Pozostaje jeszcze szkło wodne, które jako domieszka do farb mineralnych na przedmiotach sztywnych (ściany drewniane, figury, grzymsy i t. p.) tworzy krzemionkową powłokę, dobrze chroniącą przed słabym ogniem. Przy silnym ogniu drzewo pęka i oczywiście podlega z łatwością pożarowi.

Nad wynalezieniem środka impregnacyjnego, któryby we wszystkich wyżej wspomnianych wypadkach i dla wszystkich celów okazał się trwałym i niepalnym, pracują od dłuższego czasu chemicy. Niestety większość wynalezionych przez nich środków impregnacyjnych okazuje się odporne na działanie małego płomienia, lecz zawodzą przy użyciu silniejszego ognia, powodując zmianę barwy, połysku, giętkości. Wszystkie one, np. nie wytrzymują długotrwałego żarzenia.

Jedynym uniwersalnym środkiem impregnacyjnym jest bromek amonowy, który w stosunkowo słabych roztworach (5—15 proc.) chroni doskonale przed płomieniem, a jednocześnie nie niszczy tkanin, farb, odporny jest na żarzenie, zachowuje giętkość chronionych materjałów, nie ulatnia się, nie wykrystalizowuje i całemi latami zachowuje się bez zmian.

Chcąc użyć bromek amonowy jako środek impregnacyjny, należy sporządzić zeń roztwór 5—15 proc. wodny i roztworem tym nasycić, względnie pociągnąć przedmioty, narażone na ewentualną styczność z ogniem. W budownictwie dobrze jest dodawać bromek amonowy do farb, któremi się maluje podłogi, drzwi i okna, jak również nasycać nim belki, służące do wiązań.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Józef Jedynak** w P.: Słusznie Pan pisze, że jeżeli się chce kogoś krytykować, trzeba samemu coś umieć. Otóż w myśl tej zasady zwracamy uwagę, że w słowach, zaczynających się od „prze", „przy" pisze się zawsze „rz", tylko w słowie pszenica pisze się „sz", natomiast gdy się Pan nieco głębiej zastanowi, to zauważy, że słowo pszczoła nie zaczyna się ani od „prze", ani od „przy". Jeżeli się Panu zdaje, że w Polsce zamało urzędników, to trudno; my zdania nie zmienimy i nie przestaniemy twierdzić, że w niektórych kategorjach jest ich zadużo i że niektóre urzędy są zupełnie zbyteczne. Rozumie to zresztą i sam rząd i powoli liczbę tę ogranicza. W Administracji „Roli" pracuje dwie panie, w Redakcji zaś tylko jeden redaktor, a to chyba nie zadużo. Co do wdów powojennych, to są ich dwa gatunki: jedne, które straciły męża, jedynego swego żywiciela, i te zasługują na zupełne poparcie, ale są i takie, które za otrzymywane pieniądze ze skarbu państwa bawią się wesoło z kawalerami i dla tych właśnie szkoda pieniędzy. — **Stanisław J. Rabjan** w S.: Nadesłany nam artykuł bardzo dobry, ale niestety dla „Roli" zadługi; zająłby on przeszło trzy strony druku, a na to miejsca nie mamy, dzielić zaś artykułów poważnych nie chcemy, gdyż tracą one na wartości. Gdyby Pan na ten temat napisał 100—120 wierszy, chętniebyśmy zamieścili, bo temat rzeczywiście ciekawy. — **Wojciech Lorenc** w Ł.: Z zagadek w miarę miejsca skorzystamy. — **Marja Waller** w Rz.: „Słomianych ech." z powodu braku czasu jeszcześmy nie zdołali przeczytać. Artykuł musieliśmy podzielić, dając trzy oddzielne tytuły. Pierwsza część w numerze, dalsze w następnych. — **Franciszek Klimeczko** w W.: Niestety, nie wiemy sposobu, w jaki mógłby Pan brata odszukać. A możeby tak napisać do poselstwa rosyjskiego w Warszawie, choć wątpimy, czy to co pomoże. — **L. Kuboszek** w Cz.: „Uczciwość wynagrodzoną" przeznaczamy do druku. Na bieżący kwartał ma Pan zapłacone 1 zł. 60 gr. — **Żotik Łopuch** w B.: Kalendarzy już nie mamy. Wierszyk rymy ma dobre ,ale rytmu brak. — **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: Legenda o rękawiczce była przed kilku miesiącami w „Roli". „Strzecha rodzinna" nie wychodzi. — **Józef Łamacz** w C.: Nadesłane utwory chętnie zamieścimy. Warunków niema żadnych. — **Andrzej Wewicz** w M.: W sprawie amat. teatru niech się Pan zwróci do teatru włośc. w Białobrzegach, poczta Krosno, a udzielą informacyj, albo wskażą adres Związku teatrów włościańskich. — **Józef M. Mikołajewicz** w Z.: Maciek za pamięć dziękuje, no i obiecuje poprzeć sprawę, jak posłem, albo jakim innym dygnitarzem zostanie. — **Władysław Piotrowski** z Danji: 5 kor. otrzymaliśmy — dziękujemy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Wł. Sowizrał z J.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ Gałąź.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Część buta.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Niewidomy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Azji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptak domowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Biedny.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zwierzę dzikie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Ptaszek.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Służy do bud. pieców.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Nakrycie stołu.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Część ręki.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Student.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Przyrząd sportowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Papier wartościowy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Sucha trawa.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Azji.

Litery pierwszego rzędu czytane z góry ku dołowi dadzą nam dwa nazwiska sławnych bohaterów polskich, którzy walczyli w obronie Ameryki o jej wolność.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Lorenc Wojciech z Ł.).

Pierwsze ton gamy oznaczy,
Pół trzeciej wspak, pół drugiej
Okres czasu znaczy,
Pół drugiej, pół trzeciej wspak
Zwierzę domowe macie,
Które chętnie myszy łapie,
Pół drugiej, jedna z trzeciej
Prezent wam tłumaczy,
Zaś trzecie kolej oznaczy,
A całość wydawca pisma,
Nikt temu nie przeczy.

II.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Pierwsze zimą na rzece płynie,
Drugie trzecie z długości słynie
Towar jest czasem pierwszy i drugi,
Całość oddaje znaczne usługi.

3. Szarada literowa.

Pierwsze drugie z krzaka zrywacie,
Drugie pierwsze z przeziębienia macie.

4. Zadanie rybne.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Kucharz pewnego ziemianina otrzymał polecenie co do ryb, które miał podać na śniadanie w dniu imienin swego pana. Rozporządzenie napisane było w następujący sposób: „Czwarta część karpia, trzecia łososia, szósta jesiotra, trzecia karasia, trzecia flądry, trzecia węgorza i druga lina".

Kucharz załamał ręce. Cóż to będzie za mieszanina? Skąd wziąć na wsi flądry, jesiotry i t. d.?

Po dłuższym namyśle krzyknął: Już mam!

Zgadnijcie, jak wykonał kucharz polecenie i jakie ryby podał na śniadanie imieninowe swego pana.

5. Bilet wizytowy.

(Ułożył Kula W. z M. K.).

Emil Rycz
Sanok.

Odczytać zawód tej osoby.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 15 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 17 „Roli": 1. Logogryf: Michał Wołodyjowski. 2. Zagadki: I. Kostur. II. Grom. 3. Szarady: I. Redaktor. II. Polikarp. 4. Układanki szaradowe: Transfuzja, transakcja, Translator, transmisja.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Antoni Sordyl z Z., Dominik Buchała z Z., Stefanja Smagowicz z K., Teofil Buzman z K., Józef Cieplik z K., Krystyna Górecka z K., Józef Górecki z K.

Nagrody wylosowali pp.: Krystyna Górecka z K. i Dominik Buchała z Z.

Wydawca: **Feliks Kowalczyk.** Odpowiedzialny redaktor: **Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W szkole.

Nauczyciel: — Wicek, powiedz nam, kiedy gruszki najlepiej smakują?

Wicek: — Gdy nasz proboszcz wyjedzie na odpust.

Sprawiedliwy.

Żona: Zastanówże się, 6 piw już wypiłeś; czy nie pamiętasz wcale o twych 7 dzieciach w domu?

Mąż: Właśnie, dlatego, że pamiętam, wypiję jeszcze siódme.

Zimna krew.

Żona dozorcy więziennego do męża: Gwałtu! Spiesz się! Trzech więźniów uciekło!

Dozorca: No i cóż z tego? Niebawem przyjdą inni!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 1 maja b. r.

Pszenica	32·00—32 50	Słoma długa	5·50—6·50
Żyto .	26·50—27·50	Ziemniaki stoł.	10·00—12·00
Owies . .	30·00—32·00	Koniczyna nasienn. czer.	290·00—320·00
Jęczmień .	29·00—30·00	Mąka żytnia	42·50—43·00
Fasola biała	40·00—44·00	Mąka pszen.	55·00—57·00
Groch zwyk.	00·00—00·00	Otręby pszen.	22·00—00·00
Siano słodk.	15·00—16·00	Otręby żytnie	22·00—00·00
Łubin żółty	36·00—37·00	Mąka czerw.	25·00—00·00
Koniczpastew.	18·00—20·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 1 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·22 zł.	Jałownik	od 1·14 do 1·25 zł.
Woły . .	od 1·19 do 1·30 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 1·30 zł.
Krowy .	od 0·95 do 1·12 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·30 do 1·40 zł.	Nierogaciznę biższej wagi	od 1·65 do 1.75